

Sergiusz Jackowski

WIGILIA Z PUŁKOWNIKIEM



OD AUTORA

W 1945 r. miałem zaszczyt siedzieć razem z rosyjskim oficerem za stołem wigilijnym i wysłuchać jego szczerych zwierzeń. Opowiadany, niezwykle los pułkownika i tragedia jego rodziny pozostała w mojej pamięci. Po dwudziestu latach przypominając jego opowiadania za „stołem wigilijnym” spisałem. Notatki odłożyłem z myślą, by na starsze lata mając więcej czasu zdobyć się na wysiłek odtworzenia tych wydarzeń i napisać opowieść na pamiątkę dla przyszłych pokoleń. Ze względu na odległy czas dla utrzymania dramaturgii wprowadziłem kilka fikcyjnych nazwisk bohaterów oraz dla ciągłości opowiadania niektóre zdarzenia, fakty i szczegóły zostały nieco rozbudowane.

Miłość pułkownika w tej opowieści nie mogłem pominąć. Była ona dla niego najważniejszym, najcenniejszym, i najpiękniejszym fragmentem jego życia. Trwała o dwa lata krócej od katorgi. Był On człowiekiem skromnym i nie pogardził naszą skromnością. Był ofiarą rewolucji i II Wojny Światowej. W spół czuwał ludziom, którzy niewinnie cierpieli, bez względu na ich narodowość i na ich zamożność. Kochał swoją Ojczyznę. i nade wszystko swoją rodzinę.

Ta opowieść została pozytywnie oceniona w recenzji wykonanej przez dr Zbigniewa Mazura z Instytutu Zachodniego w Poznaniu.

Międzylesie 1998

Korekta 2009

Autorstwo zastrzeżone

Spis treści

WSTĘP.....	4
REWOLUCJA	5
ZESŁANIE W TAJGĘ	8
POWRÓT DO NOWOSYBIRSKA.....	9
DZIKIE MIASTO.....	10
NIEZWYKŁA PODRÓŻ W NIEZNANE.....	10
SWIESZCZENNYJ BAJKAŁ.....	11
PODRÓŻ DO GÓR ŚMIERCI	12
KOPALNIA ŻŁOTA.....	13
NAD AMUREM.....	14
NAJDŁUŻSZY REJS W NIEZNANE.....	15
NAD PACYFIKIEM.....	15
MIŁOŚĆ Z KAMCZATKI.....	17
POŻEGNANIE Z KAMCZATKĄ.....	20
SPOTKANIE Z NAJWYŻSZYM KOMISARZEM.....	21
W MOSKIEWSKIM HOTELU.....	22
ODWIEDZINY.....	24
ODPOCZYNEK I ŚLUB NA KRYMIE.....	25
WE WŁASNYM DOMU.....	28
WOROSZYŁOW.....	28
NIESPODZIEWANY GOŚĆ.....	30
II WOJNA ŚWIATOWA.....	33
WIGILIJNE POŻEGNANIE.....	37

WSTĘP

Po wojnie, jako repatrianci przybyliśmy na „Ziemie Odzyskane”. Opuściliśmy swoją Ojczyznę na wschodnim cyplu przedwojennej Polski. Długie poszukiwania odpowiedniego, wolnego gospodarstwa zakończyliśmy w lipcu 1945 roku. Trafiliśmy do Międzyzlesia w powiecie świebodzińskim. Zajętym, poniemieckim gospodarstwem cieszyliśmy się tylko kilka dni. Na początku sierpnia w Międzyzlesiu zahuczało ciężkimi pojazdami wojennymi. Po zakończeniu działań wojennych, po wypoczynku i uzupełnieniu różnymi rozbitkami, dywizja artylerii Armii Czerwonej opuściła Berlin i wyruszyła do Polski. Zajęła puste koszary w Ciborzu oraz zagospodarowała kilka odległych, poniemieckich majątków. W Międzyzlesiu zakwaterowało się dowództwo dywizji, a w naszym domu we wszystkich trzech pokojach zamieszkał pułkownik Puryn ze swoim kierowcą Wanią. Tylko pozostałe pomieszczenia w domu jak kuchnia i budynki gospodarcze były dostępne dla nas. Pokój dla wypoczynku oraz noclegów przydzielono nam w innym miejscu. Czas płynął. Musieliśmy się przyzwyczaić do niewygody oraz nieproszonych lokatorów.

Pierwsza zima w Międzyzlesiu była śnieżna i mroźna. Zbliżało się Boże Narodzenie. Gdy nadszedł wigilijny wieczór rodzice tak jak mogli przygotowywali tradycyjną wieczerzę. Ojciec przyniósł ze stodoły trochę siana w koszyku i cieniutko rozesłał po całym kuchennym stole. Mama przykryła całość białym obrusem. Na talerzach znalazło się kilka najważniejszych tradycyjnych dań. Ja ze siostrą pierwsi siadaliśmy do stołu. Wtedy mama zwróciła się do ojca:

- *Zanim usiądziemy do wieczerzy wigilijnej, czy nie wypada zaprosić do stołu pułkownika?* (Kierowca Wania w tym czasie był gdzieś w podróży).

- *Masz rację, ale sama widzisz jaki on nieprzystępny* - odparł ojciec.

Pułkownik zawsze był ponury i nie okazywał nigdy żadnej przyjaźni. Posiadał zbójcecki wygląd i odpychającą twarz ze zniekształconą górną wargą pełną zrostów i blizn. Po krótkim namyśle ojciec nabrał odwagi i ruszył do pokoju oficera. Zapukał. Pułkownik osobiście otworzył drzwi, a następnie zaprosił ojca do siebie. Po krótkiej rozmowie ojciec wrócił i oświadczył, że pułkownik zaraz przyjdzie. Czekaliśmy z niecierpliwością. Gdy zaproszony gość się zjawił, zobaczyliśmy pierwszy raz uśmiech na jego twarzy. Oczywiście przyszedł z prezentem zawiniętym w papier i położył go na stole. Po przywitaniu się z mamą oraz siostrą i mną, życzył wszystkim zdrowych, i wesołych Świąt. Poklepał mnie po plecach i powiedział:

- *No, Sierozka, jeszcze niemnożko i pajdziesz w armiu.*

Ucieszyłem się gestem pułkownika.

Następnie rozwinął prezent. Kładąc dużą, piękną bombonierę przed mamą powiedział:

- *Eto dla Ciebie Chazajka, dla Zinoczki i Sierozki.*

Tym prezentem byliśmy uszczęśliwieni. Od kilku miesięcy nie próbowaliśmy słodczy. Do tego, takich frykasów w życiu nikt z nas nie widział na oczy. Na koniec piękną butelkę alkoholu podniósł do góry i powiedział:

- *Pazwolicie pastawić trofiejnuju!*

Stawiana półlitrowka przewracała się na nierównościach stołu. Ojciec pomógł ją postawić, usuwając w tym miejscu siano spod obrusa. Opłatka nie było. Ojciec wszystkim uczestnikom wieczerzy złożył życzenia świąteczne oraz noworoczne. To, co my jedliśmy, także jadł z apetytem pułkownik. Chwalił gospodynię za smacznie przygotowane dania. Po krótkim posiłku nawiązała się rozmowa. Ojciec opowiadał jak służył w carskim wojsku, jak przez całe swoje życie nie doznał dostatku. Wspominał o swoich dwóch synach, którzy jeszcze nie wrócili z wojennej zawieruchy. Mama długo zastanawiała się, czy do „trofiejnej” postawić szklanki, gdyż w wigilijny wieczór nie wypadało pić alkoholu. (Na Białorusi zwykli, prości ludzie nigdy nie pili alkoholu z kieliszków). Gdy już dwie szklanki stały, pułkownik sięgnął po trunek. Nalał po pół szklanki ojcu i sobie. Wzniósł pierwszy toast na zapoznanie się, życząc wszystkim wzajemnego zdrowia. Po wypiciu ojciec opowiadał dalej o swoim życiu. Pułkownik słuchał go z uwagą, zagryzając trunek kluskami z makiem i pierogami z farszem grzybowym. Gdy ojcu wyczerpał się nieco temat, pułkownik powiedział:

- Nie bardzo Wam wiodło się w życiu. Przez wojnę też nie mało wycierpieliście. Teraz posłuchajcie o tym, co ja przeszedłem w swoim życiu.

Z powagą i smutkiem w głosie zaczął opowiadać...

REWOLUCJA

Za cara mój ojciec był podpułkownikiem. Mieszkaliśmy w Carycynie (Stalingrad). Matka pracowała jako nauczycielka. Było nas troje rodzeństwa: miałem młodszego brata Piotra i jeszcze młodszą siostrę Katarzynę. Po ukończeniu Oficerskiej Szkoły Budowlanej w Saratowie, jako dwugwiazdkowego oficera skierowano mnie do Nowosybirsk, do pułku artylerii. Tam otrzymałem zadanie, by z poborowych utworzyć kompanię budowlaną. (*Wyjaśnienie: poborowi za cara służyli 3-5 lat. Pierwsze dwa lata musieli ciężko pracować dla ojczyzny*). Wybrałem najlepszych fachowców budowlanych. Pierwszą moją budowlą był duży drewniany magazyn na potrzeby wojskowe przy stacji kolejowej w Nowosybirsku. Zaczynała się sroga, syberyjska zima, kiedy zakańczaliśmy budowę budynku.

Wybuchła rewolucja. W mieście zaczęła się rzeź. Robotnicy z narażeniem życia zdobywali broń bez broni nacierając nawałą na nasze koszary. Masowo ginęli. W tym samym czasie na stację kolejową wjechał długi pociąg towarowy wypełniony cywilami w pełnym uzbrojeniu. Wszyscy ze wszystkich stron okrażeniem nacierali na nasze koszary. Mieliśmy silną obronę jak: Ciężkie karabiny maszynowe „maksymy” i działa. Bezlitośnie kosiliśmy nacierających. Natarcia nie powstrzymał nawet ogień artylerii. Robotnicy z Nowosybirsk zdobyli magazyny z bronią, znajdujące się z drugiej strony koszar. Byliśmy okrażeni. Nacierających było coraz więcej. Nie nadążaliśmy ich zabijać. Na stanowiskach obronnych odczytano depezę od generała Antona Denikina, która głosiła, by walczyć za cara do końca, aż nadejdzie pomoc. Śnieżno-białe pole walki zrobiło się szare od zabitych rewolucjonistów i carskich żołnierzy. Gdy cywile zajęli teren koszar, poddaliśmy się. Rozbrojono nas. Każdego oficera przeklinano i pluto w twarz. Przy zrywaniu pagonów każdy odczuł bolesne szturchańce. Po pohańbieniu godności, wszystkich jeńców zgoniono w szeregi. Pędzono nas w kierunku stacji kolejowej. Nie chciałem uwierzyć, że magazyn który budowałem, był zapełniany jeńcami z naszego pułku. Zmieściło się w nim jakieś 800 carskich żołnierzy. Budynek otoczono kordonem straży. Ta noc w moim życiu była najstraszniejszą. Wszyscy oczekiwaliśmy na tortury i śmierć. Nikt nie zmrużył oka. Wydawało nam się, że to nie jest rzeczywistość lecz jakiś koszmarny sen. Wielu żołnierzy było rannych. Rozrywali sobie koszule i robili opatrunki. Przez noc kilku umarło wzywając Boga. Gdy się już dobrze rozwidniło, do magazynu wszedł jakiś kamandir i krzyknął:

- *Wychodzić na zbórkę.*

W kilku rzędach ustawiono nas w dwuszeregu. Kamandir krzyknął:

- *Oficerowie wystąp na środek! Dołączyć do jednego szeregu! W prawo zwrot! Naprzód marsz! Stój! W lewo zwrot! Zdejmować płaszcze i rzucać na kupe!*

Przy magazynie bez płaszczy staliśmy pod strażą. Szeregowych oraz podoficerów pognano na miasto. Rewolucjoniści z koszar przyciągnęli „maksima”. Czas mijał. Czuliśmy, że zbliżała się śmierć. Stojąc na mrozie dygotałliśmy z zimna. Każdy czekał, by jak najprędzej z nim skończyli. Kamandir i strażnicy nerwowo chodzili bez przerwy, jakby w oczekiwaniu na coś lub kogoś. Obsługa karabinu maszynowego paliła skręty i rozgrzewała się waląc rękami o ramiona. Zwycięzeni oficerowie z całego pułku stali w bezruchu, więc drętwieli z zimna. Niektórzy zziębnięci płakali, a łzy zamarzały im na twarzach. W mojej głowie zapanował chaos. Nie wiedziałem, co myśleć. Chwiałem się jak drzewo na wietrze. Chciałoby się upaść i zamarznąć. Przestałem myśleć o rodzinie, o matce. Głowa moja coraz bardziej zwisała. Odgłos nadjeżdżającego pociągu od strony Omska uniósł wszystkie głowy do góry. Zatrzymał się tuż przy magazynie. Był to pociąg pancerny. Jechał w nim Główny Sztab Rewolucji Zachodniej Syberii. W asyście sztabowców z pociągu wysiadł wysokiej rangi komisarz. Na spotkanie z nimi podążył kamandir. Stał przed zwierzchnikiem na baczność i zameldował:

- *Towarzyszu komisarzu, major Szwiernik melduje gotowość obsługi „maksima” do egzekucji!*

Komisarz podziękował majorowi i zbliżył się do naszego szeregu. Powoli przeszedł przed całym szeregiem zaglądając każdemu jeńcowi w twarz. Wypatrzonym ofiarom kazał wystąpić. Byli to: podpułkownik - dowódca pułku i major - szef sztabu. Po skończonym przeglądzie komisarz dał rozkaz dwóm oficerom:

- *Dołączyć! W prawo zwrot! Naprzód marsz! Stój! W lewo zwrot!*

Po wydanej komendzie ofiary znalazły się poza naszym szeregiem. Komisarz zwrócił się w stronę obsługi „maksima”. Ręką wskazał cel i wykrzyknął:

- *Ognia!*

Z „maksima” padła seria. Patrzyłem, jak na naszych oczach, umierali moi dowódcy. Podpułkownik Kiriłow upadł od razu. Major Jegorow jeszcze stał. Patrzył na nas. Jedną ręką trzymał za ranę na brzuchu, a drugą rękę uniósł powoli na pożegnanie z nami. Po chwili zamknął oczy, zachwiał się i upadł. Komisarz odwrócił się do nas i wykrzyknął:

- *Dalszej egzekucji nie będzie! Dotychczas my pracowaliśmy na was, a teraz wy będziecie pracować na nas.*

Było jasne, że czeka nas katorga. Oprawca wyjął z raportówki carską nahajkę i powiedział:

- *Ta nahajka ma dwa końce.*

Podniósł ją do góry i wskazał:

- *Tym końcem bito nas, a tym drugim będziemy bić was.*

Podszedł od końca szeregu i krzyknął:

- *Za cara!*

Zaczął po jednym razie każdego uderzać po głowach. Gdzie rękojeść trafiła, tam znak pozostał na zawsze. Od potężnych ciosów, kilku oficerów upadło. Z trudem podnosili się na nogi. Zmachany komisarz był już blisko mnie. Nahażkę wręczył zastępcy i krzyknął:

- *Zakończyć!*

Drugi oprawca był zdrowszy. Jeszcze potężniej bił na oślep.

Pułkownik wskazał na swoją zdeformowaną wargę i dwa wybite zęby, które później zastąpił złotymi. Ze smutkiem powiedział...

- *“Oto jest mój znak rewolucji”...*

Po bolesnych ciosach kazano nam ubrać płaszcze. Zaczęła się zamieć. Od mroźnego wiatru wszyscy byliśmy skostniaли. Każdy trząsł się jak w agonii. Oprawcy to dostrzegli. Kazano nam wejść do magazynu, by się ogrzać. Po dwóch godzinach nie poznawaliśmy jeden drugiego. Nasze twarze wyglądały okropnie. Jedni jeszcze krwawili, innych rozsadzała opuchlizna z czarnymi otokami wokół oczu. Po kilku godzinach zapędzono nas do miasta. Każdy starał się osłaniać rękoma rany przed mrozem. Miasto wyglądało przerażająco. Mieszkańcy pod nadzorem rewolucjonistów już sprząтали z ulic ciała zabitych. Przez świeży śnieg przebijały plamy ludzkiej krwi. Co kilkadziesiąt metrów pozostawiano nas po pięciu do oczyszczania miasta z trupów. Stwierdziliśmy, że w domach zamożnych odbywała się prawdziwa rzeź. Tam wymordowano całe rodziny. Pod nadzorem strażników, ciała wynosiliśmy na ulicę, a cywilne ekipy odbierały je i układały na sanie. Zwłoki wywożono za miasto. Pamiętam jak w eleganckim, luksusowo urządzonym mieszkaniu znaleźliśmy zamordowaną całą rodzinę. Wynosiliśmy ich po kolei. Zajrzałem do kuchni. Było sporo jadła, więc w biegu chwyciłem trochę do ust. Z bólu nie mogłem przełknąć ani kęsa. Okaleczona warga i szczeka sprawiały okropny ból. Trochę jedzenia zabrałem do kieszeni. Zajrzałem do ostatniego pokoju. Leżała tam zmasakrowana młoda kobieta. Gdy mnie zobaczyła podniosła głowę i błagała by ją dobić. Byłem przerażony. Pobiegnę do strażnika i powiedziałem co zobaczyłem, lecz on krzyknął:

- *Wynosić!*

Wpadłem do pokoju, w którym leżała ofiara w kałuży krwi. Podniosłem ją za ramiona. Jedna ręka bezwładnie zwisała, reszta ciała drgała w konwulsjach. Na twarzy miała kilka ran. Długie czarne włosy były rozsypane i pozlepiane zastygłą krwią. Jęczała przewracając oczami. Wyniosłem ją, a następnie położyłem na ulicy obok jej martwej rodziny. Do ofiary podszedł strażnik, obejrzał kobietę, zarepetował broń i strzelił jej w głowę. Jeszcze w wielu miejscach byliśmy świadkami takich makabrycznych scen. Wieczorem wróciliśmy do koszar, gdzie otrzymaliśmy skromny posiłek. Z wielkim bólem przełykałem strawę. Spuchnięta warga wciąż krwawiła. Na noc przygnano nas do tego samego magazynu. Po marnym posiłku nadal byłem głodny, ale na szczęście mogłem pożywić się zapasami z kieszeni. W jednym z mieszkań znalazłem prześcieradło. Część od niego oderwałem. W baraku rozerwałem na paski opatrunkowe, by były przydatne do ściskania skaleczonej wargi. Końce pasków zawiązywałem z tyłu na szyi. Nie miałem lusterka, ale wyobrażałem sobie jak mogłem wyglądać. Przez kilka dni

oczyszczaliśmy miasto po rewolucyjnych skutkach. Robiliśmy porządki w koszarach, w których zaczęła urzędować władza rewolucyjna. Potem od zasp śnieżnych oczyszczaliśmy tory kolejowe.

ZESŁANIE W TAJGĘ

Po dwóch tygodniach po rewolucji załadowano nas na pociąg. Jechaliśmy na zachód. Omsk był stacją docelową. Tam przetrzymywano już inną grupę byłych carskich oficerów, oraz nie wielką część podoficerów. Razem było nas około 500 osób. Uznano nas wrogami rewolucji i przeznaczono do katorżniczej pracy. Wszyscy otrzymaliśmy ciepłe ubrania i walonki. Nazajutrz na konne sanie załadowaliśmy sprzęt dla drwali i prowiant, a także: piły, siekiery, łopaty, duże gwoździe oraz duże kotły do gotowania strawy i inny potrzebny sprzęt dla drwali. Wyruszyliśmy w tajgę, kierując się na północ wzdłuż rzeki Irtysz. Kilkadziesiąt załadowanych san przecierało szlak. My jako skazańcy szliśmy z tyłu pieszo. Z przerwami na krótkie postoje i drzemki w śniegu pokonywaliśmy ponad 60 km na dobę. Pierwszy tydzień był znośny. Potem pojawiło się zmęczenie oraz ból. Szliśmy coraz dalej na północ. Mrozy od minus 30 do 40 a nawet i do 50 dawały się wszystkim mocno we znaki. Zmęczeni padaliśmy, podnosiliśmy się i znów szliśmy dalej. Tempo marszu spadło do 50 km. na dobę. Na noc do spania, by było cieplej wkopywaliśmy się głęboko w śnieg. Nie raz po nocnych zawiejach śnieżnych byliśmy całkowicie zasypani. Po każdej takiej nocy kilku najsłabszych skazańców zamarzniętych lub uduszonych z braku tlenu zostawało na zawsze pod śniegiem. Nie szukaliśmy i nie odkopywaliśmy ich. Padały także konie. Martwe zwierzęta natychmiast patroszono, rozcinano siekierami, a następnie ładowano na sanie z prowiantem. Po padniętych koniach sanie z prowiantem doczepialiśmy do san pozostałych koni. Po dziesięciu dniach dotarliśmy do pięknych lasów. Stamtąd już nikt nie miał gdzie i po co uciekać. Piły, siekiery poszły w ruch. Z cieńszych drzew i gałęzi wybudowaliśmy ogromne szałas dla siebie i dla koni. W nocy paliliśmy w nich bez przerwy ogniska, dzięki czemu pomimo siarczystego mrozu wewnątrz ich mieliśmy ciepło. Gruba warstwa śniegu, która podczas topienia zamarzała na szałasach doskonale izolowała wnętrze od mrozu. Wodę do gotowania strawy braliśmy z pobliskiej rzeki Irtysz lub po prostu topiliśmy śnieg. Co dwa dni sanie z załadowanym drewnem wyruszały w kierunku Omska. Woźnice w pół drogi wymieniali załadowane zaprzęgi z drewnem na zaprzęgi z prowiantem. Po kilkunastu dniach wracali ze świeżą żywnością.

Ludzie nie byli odpowiednio odżywiani. W tak ciężkich warunkach każdego dnia ktoś umierał. Skazańców nie było komu i czym leczyć. Zmarłych wynoszono kilkaset metrów od obozu i układano na przemy. Byliśmy blisko rzeki Irtysz. Ktoś z władz pomyślał na dożywianiu siły roboczej. Przy następnej dostawie prowiantu, przywieziono sprzęt do łowienia ryb z pod lodu. Najwięcej było wędek z błyszczkami. Nazywano je „ablitnia”. Drwale po wykonaniu swoich zadań, szli na łód łowić ryby. Wracali zawsze z udanymi połowami, choć zdarzyło się, że nie wszyscy. Gdy ktoś trafił na cienką taflę lodową zasypaną śniegiem, nie miał już ratunku.

W tym momencie opowiadania, pułkownik streścił o dawnych dziejach nad Irtyszem.

„W dawnych czasach rzeka Irtysz pochłonięła życie wielu wojownikom. W okresie, gdy carowie Rosji podbijali Syberię, słynnym wodzem konnych wojsk był Jermak. Gdy dotarł do Irtysza, napotkał na zdecydowany opór. Tubylcy -Azjaci nie chcieli carskich rządów. Zawsze byli dobrze przygotowani i czekali po drugiej stronie rzeki na przywitanie zaborcy. Jermak czekał na odpowiednią porę do ataku. Wreszcie nadszedł wymarzony moment. Pod osłoną nocy i rozszalałej, syberyjskiej burzy wydał rozkaz sforsowania rzeki końmi wpław. Nie przywidział, że błyskawice oświetlające rzekę podczas forsowania nie będą mu sprzyjać. Tragedia zaczęła się, gdy jego wojska docierały do przeciwległego brzegu. Wówczas masa drewnianych belek oraz tysiące strzał i kamieni nie pozwoliły wylądować na brzegu. Ani jeden carski żołnierz nie osiągnął tego celu. Tak oto Jermak ze swoim słynnym wojskiem popłynął Irtyszem do morza

Karskiego. Została tylko po nim narodowa piosenka, którą do dziś śpiewa cała Rosja. Po wiekach ta groźna rzeka zabrała także kilku moich kolegów”.

Po opowiedzeniu historycznego fragmentu o dziejach nad Irtyszem pułkownik kontynuował opowiadania o swojej katordze.

Wycinając las posuwaliśmy się coraz dalej na północ. Budowaliśmy nowe szałas. Przy każdym z nich zostawialiśmy na przyrządach ciała kolegów. Nadchodziła odwilż, a wraz z nią wiosna. Musieliśmy jak najszybciej opuścić tajgę i wracać do Omska, gdyż topniejący śnieg niebezpiecznie zamieniał tajgę w bezkresne rozlewiska. Po parodniowej odwilży podjęto decyzję o powrocie. Minął tydzień podróży. Marsz zaczął zamieniać się w koszmar. Tajgę pokryła woda. Irtysz także wystąpił z brzegów. Na długich odcinkach, po kolana a nawet głębiej, brnęliśmy w wodzie i błocie pośniegowym. Zdarzało się, że ludzie ze zmęczenia wpadali w głębsze doły i od ciężaru nasiąkniętej wodą odzieży nie mieli już siły się podnieść. Nie było warunków by ich ratować. Po drodze omijaliśmy ofiary niby jakieś przeszkody. Każdy myślał jedynie o ratowaniu siebie. Odpoczynki oraz spanie zarządzano na pagórkach i wzniesieniach. Tam podsuszano przemokłe ubrania nad ogniskiem. Gdyby nasz pobyt w tajdze został przedłużony o dwa dni, to wszyscy zostalibyśmy w niej na zawsze. W wodzie i rozmokłym śniegu ginęli najsłabsi, całkowicie wyczerpani skazańcy. W sumie do Omska powróciła nas zaledwie połowa.

POWRÓT DO NOWOSYBIRSKA

Całą, naszą grupę ocalałą po powrocie z tajgi znowu przywieziono pociągiem do Nowosybirsk. Przez wiosnę i lato pracowaliśmy przy budowie mostu na rzece Ob, oraz rozbudowie kolei. Mnie przydzielono z dwoma kolegami do ociosywania potężnych bali przeznaczonych na nawierzchnię mostu. Po kilku dniach nasze dłonie pokryły się bąblami, które nie pozwalały spać. Nocą trzeba było wymachiwać rękami by uśmierzyć piekący ból. Rankiem dłonie owijaliśmy w szmaty i pracowaliśmy dalej. Dla każdego była wyznaczona norma. Jeden z kolegów, być może celowo, skaleczył sobie nogę siekierą. Zabrano go podobno do szpitala, lecz nigdy więcej go nie zobaczyłem. Cieślę zastąpiono innym skazańcem. Po kilku tygodniach skóra na dłoniach zrogowaciała i stała się odporna na mozolną pracę.

W barakach gdzie spaliliśmy, wszy chodziły sznurem. Szczeliny prycz były czerwone od pluskiew. Gdy się rozbieraliśmy, pchły atakowały nogi. Przy rozpalonych ogniskach zdejmowaliśmy ubranie. Zawieszaliśmy je na kijach i trzymaliśmy nad ogniem. Wszy co prawda spadały, ale niestety, ubrania niszczyły od płomieni. Więc wynaleźliśmy nowy sposób. Wybudowaliśmy zadaszone palenisko z kamieni. Gdy kamienie zostały nagrzane do odpowiedniej temperatury, kładliśmy na nich odzież. Od wysokiej temperatury pasożyty pękały i trzeszczały jak palący się świerk. Po takim zabiegu przez jakiś czas dokuczliwość ustępowała. Po następnym ataku insektów wybuchła epidemia, od której umarło kilkudziesięciu kolegów. Chowaliśmy ich w grupowych grobach. Aby uniknąć dużych strat w ludziach od czasu do czasu przeprowadzono zabiegi przeciw insektom. Po tych czynnościach w barakach powstawała nieznośna woń utrzymująca się przez kilka dni. Z tego powodu przez kilka nocy nocowaliśmy pod barakami.

Gdy zaczęły się opady śniegu znowu zawieziono nas do Omska. Powtórzyliśmy wyprawę w tajgę. Tak jak i poprzednio połowa skazanych z niej nie powróciła. Syberyjska tajga stała się wielkim cmentarzyskiem rosyjskiej młodzieży. Przez resztę życia rozpamiętywałem przebieg tamtych wydarzeń i doszedłem do wniosku, że stało się tak dlatego, gdyż człowiek bogaty nie chciał podzielić się z biednym.

W tym momencie pułkownik zamyślił się ze spuszczoną głową. Być może w tym czasie obwiniął swoją bogatą rodzinę. Ojciec, widząc go zamyślonym sam nalał po odrobinie „trofiejnój”. Zachęcał pułkownika do jej wypicia. Po wypiciu nasz gość, wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów „Biełamorkanał”. Poczęstował ojca, sam zapalił i opowiadał dalej...

DZIKIE MIASTO

Z Omska ponad 1000 km. jechaliśmy długo aż do Bracka. Po rewolucji tym dzikim, drewnianym miastem rządzą carscy przestępcy. Przed rewolucją chronili się oni w bezkresnej tajdze. Po rewolucji wrócili z niej i pozajmowali ważne stanowiska. Zdziczali ludzie wprowadzili swoje, dzikie prawo. Każdego dnia i w nocy trwała strzelanina. Każdego dnia kogoś rozstrzeliwano. Tam jeszcze trwała rewolucja. Tam jeszcze zabijano bogatszych ludzi. Tam w górzystym terenie przez dwa miesiące w nieludzkich warunkach budowaliśmy drogi. Tam przy każdym spotkaniu z cywilami nazywano nas „carskimi parazitami” (pasożytami). Tam kto posiadał broń czuł się jak pan na swoich włościach. W każdej chwili taki dzikus mógł strzelić do każdego z nas i nie odpowiadał by za to. Tam także w nieludzkich warunkach ciężkiej pracy wśród skazańców śmierć zbierała swe żniwo. Kilkanaście osób umarło z wyczerpania. Pozostali oni na zawsze, zasypani w nasypach drogowych stoków górskich. Do Bracka przybywały nowe grupy skazańców. Zatrudniano ich do wycinki tajgi i dalszej budowy dróg.

NIEZWYKŁA PODRÓŻ W NIEZNANE

Po dwóch miesiącach z niewiadomych przyczyn naszą grupę z Omska popędzono na południe po prawej stronie potężnej rzeki Angary. Wzdłuż brzegu płynęły łodzie ze strażnikami i prowiantem dla nas. W nie których miejscach szerokość Angary dochodziła do jednego km. Na Wyżynie Syberyjskiej szumiała bezkresna tajga. Wysokie cedry, sosny, modrzewie i pozostałe, różne gatunki drzew sięgały prawie do samej wody.

Podczas odpoczynku do brzegu podpływały łodzie z prowiantem. Pozwolono nam także penetrować ptasie gniazda przy brzegu rzeki i na drzewach, o ile były w zasięgu wzroku strażników. Jaja piekliśmy na ogniskach, bądź wypijaliśmy na surowo.

Strażnicy pilnowali nas także z łodzi. Pomimo bacznej obserwacji, zdarzały się udane ucieczki. Kilku śmiałków zdołało wykorzystać sytuację i gęste zarośla przy brzegu rzeki, by urwać się i uciec w tajgę. Tacy uciekinierzy byli już wolni, choć niestety skazani na walkę o przeżycie bez broni w obcym, dzikim, bezludnym terenie. Po tym wydarzeniu grożono nam śmiercią, jeżeli u któregoś z nas dostrzegą podejrzany ruch.

Podczas przemarszu strażnicy, którzy szli na przedzie, od czasu do czasu ustrzelili jakąś zwierzynę. Zdobycz szybko patroszono i ćwiartowano. Wkrótce na patykach w ogniskach skwierczała dziczyna. Każdemu przypadał choć mały kąsek.

Największym naszym wysiłkiem było pokonywanie progów na Angarze łodziami z prowiantem. W kilku miejscach rzeka nagle się zwężała. Po obu bokach rzeki wyrastały wysokie, skalne ściany, a wodę przecinały duże skalne głazy. Wzburzona woda nie pozwalała przedostać się łodziom. Aby ominąć progi, musieliśmy łodzie i prowiant przenosić przez góry. Mieliśmy okazję poznać najśłynniejszy i najgroźniejszy próg zwany „Padun”. Z daleka było słychać jego głośny szum.

W odległych czasach najśłynniejsi żeglarze najlepszymi statkami nie mogli pokonać tego progów. Musieli różnymi pomysłami i sposobami przeciągać statki przez górę, albo decydowali się na powrót. By płynąć dalej robili tor z wyrąbanych drzew. Smarowali go tłuszczem. Za pomocą

specjalnego sprzętu i ludzką siłą pokonywali górę w przeciąganiu statków poza groźny próg.. Przez całą podróż wzdłuż Angary mineliśmy kilka małych osad i kilka domków w których żyli myśliwi. Polowali oni na niedźwiedzie, sobole, rosomaki oraz inną zwierzynę leśną. Skóry na sprzedaż dostarczali łodziami do Bracka, Angarska lub Irkucka.

Pewnego dnia tajga się urwała. Przed nami leżał step porośnięty krzakami i wysoką trawą. Zatrzymaliśmy się na noc. Podczas snu jeden ze strażników został uduszony, a czterech skazańców uciekło z bronią zamordowanego. Szybko podniesiono alarm. Mimo zupełnej ciemności strzelano na oślep w kierunku zbiegów. Dwóch strażników wyruszyło na pogoń. Wkrótce przyniesiono jednego uciekiniera z przestrzelonym biodrem. Nieszczęśnik prosił i jęczał by darowano mu życie, lecz to nic nie dało. Komendant strzelił mu w głowę. Uduszonego strażnika musieliśmy pochować w wykopanym na stepie grobie. Ciało skazańca pozostawiono na pożarcie stepowym drapieżnikom. Zazdrościliśmy uciekinierom, gdyż z karabinem mieli szansę przeżyć w syberyjskiej tajdze. Rano wyruszyliśmy w dalszą drogę. Strażnicy jeszcze bardziej wzmocnili czujność. i jeszcze bardziej grozili śmiercią za każdą podejrzaną błąhostkę.

W końcu dotarliśmy do rozległej doliny. Po drugiej stronie rzeki leżało miasto Angarsk. Szliśmy jeszcze jeden dzień aż ukazało się miasto Irkuck. Rozmieszczono nas w barakach, gdzie mogliśmy zaleczyć poranione, odparzone i pełne odcisków nogi. W Irkucku trafiliśmy na warunki zbliżone do ludzkich. Wyżywienia nie brakowało. Ogólne warunki mieliśmy znośne. Pracowaliśmy w porcie i na budowach. Nikt nie chorował i nie umierał. Skazańcy dobrze się odżywiali i szybko wrócili do zdrowia.

SWIESZCZENNYJ BAJKAŁ

(Tak te unikatowe jezioro na kuli ziemskiej nazwali poeci.

Od wieków śpiewa o nim cała Rosja.)

W dawnych czasach kraina zabajkalia kusila młodych ludzi w poszukiwaniu szczęścia. Niektórzy po latach wracali z tej krainy z dużym dorobkiem. A którym się nie powiodło wracali z nędzą. Po takich wyprawach nieszczęśników powstała piosenka: „Pa dzikim stiepiam za Bajkałem”. Wielu Polaków podczas towarzyskich przyjęć z sentymentem śpiewa tą piosenkę „ Na stepach za dzikim Bajkałem”. W tej krainie podczas niewoli przebywał bohater mojej powieści.

Po ponad rocznym pobycie w Irkucku znowu staliśmy w szeregu. Z dwoma strażnikami podszedł jakiś cywil i wybrał 15 osób, w tym mnie. W asyście strażnika odprowadzono nas do portu. Tam czekał na nas parowy statek rybacki, na którym w ciągu trzech kolejnych miesięcy katorgi poznałem Bajkał w z dłużej i w szerz. Praca rybaka na statku była katorżnicza. Często sztormowy, zimny wiatr boleśnie przenikał ciała. Na rękach i na twarzy pękała skóra. Podczas pierwszego rejsu dwóch skazańców zapadło na chorobę morską i po kilku dniach przed ukończeniem rejsu zmarło. Ich ciała nie rzucano do wody. Przyjechaliśmy z nimi do portu. Ekipa pogrzebowa zabrała je.

Rytm pracy był taki, że po dwóch tygodniach połowów wracaliśmy do portu. Jeden dzień odpoczynku i znowu wyruszaliśmy w rejs. Często sztormowy, zimny wiatr boleśnie przenikał stale wilgotne ciało. Kilka razy przed dużym sztormem chroniliśmy się w „Piaskowej Zatoce”. Na lądzie w zatoce silny, sztormowy wiatr podrywał niezwykle piasek, który w powietrzu koncertował niby zespół fujarek, grających jednocześnie różne, mieszane melodie. Z obserwacji płynącego statku było złudzenie, że wysokie, grube sosny w zatoce maszerują wzdłuż brzegu. Wydmuchany piasek spod ich korzeni uformował je podobnych do odnóg ośmiornicy. Pnie tych

drzew zaczynały się wysoko nad ziemią. Po kilku dniach przemieszczany piasek od nowa zasypywał korzenie.

Od dawnych, carskich czasów nad Bajkałem przebywali zesłańcy. Nie brakowało tam także Polaków zesłanych przez carskie ukazy. Tam musieli żyć i pracować. Nad Bajkałem jest ogrodzony grób Polaka, który był latarnikiem na „Wielkiej Dzwonicy”. Do dziś na skałach nad wodą pozostały znaki polskiego badacza Bajkału Jana Czerskiego. On pierwszy policzył, że do Bajkału wpada 336 rzek. W czasie pływania po Bajkale dwa razy mijaliśmy się ze statkiem wycieczkowym o nazwie „Czerskij”. Ten badacz także gór na dalekiej Syberii pozostawił po sobie nazwę „Góry Czerskiego”.

Z Bajkału wypływa tylko jedna rzeka Angara. Sybiracy bardzo się szczycą swoim Bajkałem. Nazywają go „Syberyjskim Morzem”. Jest ono największym, śródlądowym zbiornikiem wodnym na kuli ziemskiej. Jego głębokość sięga do 1620 m.

Przez nas główną odławianą rybą był jesiotr i omul. Waga jednego jesiota dochodziła do 100 kg. Jego mięso jest kilkakrotnie droższe od zwierzęcego. Tłuszcz jego był bardzo cenny i trafiał głównie do przemysłu. Po ostatnim rejsie wróciliśmy wykończeni i schorowani. Kapitan statku rybackiego zakomunikował, że mamy trzy dni odpoczynku, po czym czeka nas długa droga i ciężka praca. Wiedzieliśmy, że czeka nas kopalnia złota, a stamtąd już się nie wraca. W trzecim dniu odpoczynku znowu zmarło dwóch skazańców. Oni już przestali martwić się i rozpaczać. W tym dniu skazańców z budowy przygnano także do portu. Po wyruszeniu z Bracka prócz zmarłych byliśmy znowu w komplecie. Było nas około 100 ludzi.

PODRÓŻ DO GÓR ŚMIERCI

Na drugi dzień wszystkich załadowano na statek pasażerski. Podróż wzdłuż brzegów Bajkału trwała nie całą dobę. Gdy Bajkał się skończył płynęliśmy jeszcze rzeką, aż do jej wartkiego nurtu. Dalej szliśmy pieszo wzdłuż rzeki a później wąwozami wśród gór szlakiem, którym od wieków wędrowali kupcy. Zboczenie ze ścieżki było niemożliwe. Po obu stronach wznosiły się wysokie góry lub bezkresna tajga z gęstymi zaroślami i poszyciem do nie pokonania. Na ucieczkę nie było szans. W nocy musieliśmy spać jeden przy drugim, tworząc krąg. Środek był przeznaczony dla dwóch strażników. Następnych ośmiu czuwało na zewnątrz. Skoro świt, po posiłku, wyruszyliśmy w dalszą drogę. Na górzystym szlaku napotykaliliśmy wiele niewielkich osad. Tubylcy wychodzili z domów. Niektórzy z niewdzięcznością wyzywali nas od carskich burżujów. Tą hańbę w pogardzie i rozpachy często musieliśmy znosić. Na górskim rozdrożu dotarliśmy do „Sowchozu” (Sowietskoje Choziajstwo). Było to leśne gospodarstwo. Stało tam kilka samochodów transportowych do wywożenia dłużycy z tajgi na południe Rosji. Między nimi stały także samochody przystosowane do wożenia drwali w tajgę. Wszystkie te pojazdy napędzane były drewnem opałowym. Komendant strażników załatwił u przewodniczącego trzy takie samochody. Po kilkugodzinnym odpoczynku jechaliśmy krętymi, wyboistymi drogami w śród gór. Rano zauważyliśmy, że jedziemy nad krętą rzeką. Gdy padła jej nazwa Witim (dopływ rzeki Leny), byliśmy już pewni, że jedziemy tam, gdzie przewidywaliśmy, czyli do kopalni złota. Samochody zatrzymały się na krótki odpoczynek i urobku drewna na opał dla pojazdów. Jeden ze skazańców, być może skacząc z samochodu złamał nogę i upadł. Strażnicy podjęli decyzję, że połamane dalej nie będą wieźć. I znowu powtórzyła się sytuacja, że ofiara błagała, by go zostawić żywego. Niestety, litości nie było. Jeden ze strażników strzelił skazańcowi w głowę. Jego ciało zostawiono obok drogi na kamienistym, górskim zboczu.

Byliśmy bardzo głodni. Strażnicy rozdali nam po porcji sucharów, które moczyliśmy w rzece. Rozmoczone suchary smakowały nam jak najlepsze smakołyki przygotowane przez matkę w domu. Jechaliśmy dalej serpentyną nad rzeką na północ. Droga była coraz bardziej kręta i

wyboista. Samochody mocno bujały się na wszystkie strony. Z pewnością każdy skazaniec marzył, by samochód się wywrócił. Była by okazja, by rzucić się na strażników. Zabrać im broń i zbiec w góry. W każdym samochodzie czuwało dwóch strażników z bronią gotową do strzału. Minęliśmy kilka górskich wiosek. Częściej mijaliśmy drobne osady z kilkoma małymi drewnianymi chatkami, przycupniętymi przy górskich zboczach. Zapadła noc. Wielu skazańców ukołysanych jazdą samochodu spało lub drzemało. Zbliżaliśmy się do złotodajnych gór. Podróż wciąż trwała. Około południa przejechaliśmy przez most na rzece Witim. Zaraz za rzeką rozciągało się drewniane miasto Bodajbo. Zatrzymaliśmy się za miastem w lesie. Po zaopatrzeniu się w drewno opałowe ruszyliśmy dalej na wschód wśród co raz wyższych gór. Robiło się ciemno gdy cel podróży zakończył się. Otrzymaliśmy nową porcję sucharów oraz ciepłą herbatę podobną do zwykłej wody. Przenocowaliśmy w okropnie cuchnących barakach.

KOPALNIA ŻŁOTA

W kopalni złota panowały nieludzkie warunki. Strażnicy ładunkami wybuchowymi burzyli skały, a my cały kamienny urobek skrzętnie przekopywaliśmy w poszukiwaniu świecących okruchów. Spenetrowany urobek wynosiliśmy dwoma wiadrami o pojemności 25 litrów, osadzonymi na desce posiadającej specjalne wycięcie na szyję. Na końcach tej tzw. "nosiłki" zwisały łańcuchy z hakami do zaczepiania wiader. Przeszukany urobek, musiał być wybrany i wyniesiony, by można było dotrzeć do niższych złotodajnych pokładów. Kto znalazł kruszcu ponad normę, ten otrzymywał dodatkową porcję żywności. Komu w szukaniu się nie powiodło, ten z wycieńczenia szybko umierał. Zwłoki wrzucaliśmy do górskich szczelin i zasypywaliśmy kamiennym urobkiem.

Wodę dla skazańców dowożono beczkowozami z górskich źródeł. Większe jej zapasy przechowywano w beczkach, w barakach. W zimie temperatura dochodziła do minus 50 stopni, więc woda zamarzała. W czasie długotrwałych, tęgich mrozów wodę pozyskiwaliśmy z topionego śniegu. Nawet podczas największych mrozów nie przerywano pracy. By nie zamarznąć, trzeba było żwawo się poruszać. Kto był słaby, to padał i wkrótce zamarzał na kość. Po pierwszej bardzo mroźnej zimie nastąpiło krótkie ale bardzo upalne lato. W takich warunkach woda w beczkach była przegrzana i jej picie nie przynosiło ulgi. Od zabójczej temperatury katorżnicy masowo umierali. W czasie nie sprawnego beczkowozu zarządzano przerwy w pracy, co jednak powodowało duże straty w wydobywaniu złota. Wówczas kierownictwo kopalni zgodziło się, by więźniowie pod nadzorem strażników mogli chodzić ze specjalnymi baniakami po zimną wodę do odległych źródeł. Nadarzała się więc okazja do ucieczki. Pewnego dnia 12 skazańców i trzech strażników wyruszyło do źródła. Powrócili tylko strażnicy i to bez broni. Kierownictwo kopalni dziwiło się, dlaczego uciekinierzy puścili żywych nadzorców. Pościg za uciekinierami na dzikich terenach byłby bez sensu. Nieszczęśni strażnicy otrzymali wyrok za samowolne puszczenie skazanych. Musieli za karę odpracować dwa lata razem z więźniami..

Każdy transport z prowiantem przywoził nowych skazańców. W powrotną drogę te same transporty zabierały wydobyte złoto.

Dowódca strażników miał do mnie sentyment. i dzięki niemu przeżyłem. Po dwóch latach z mojej grupy więźniów zostałem sam. Wszyscy moi koledzy umarli. Mojemu zdrowiu także zagrażała śmierć. Komendant wyjątkowo spół czuwał dla mnie. Często ze mną rozmawiał. Pewnego dnia powiedział, że skierował odpowiednie pismo do kolegi w mojej sprawie, który był komisarzem NKWD w Bodajbo. Prośbę umotywował tym, że w każdych okolicznościach sumiennie oraz z poświęceniem wykonywałem ciężkie prace, co spowodowało wyjątkowe współczucie dla pokornego człowieka. Sumienie radzieckiej władzy powinno wyjątkowo uwzględnić ten przypadek i odesłać skazańca do lżejszych prac na południe Związku

Radzieckiego. Jego wniosek został przez NKWD uwzględniony. Przy najbliższej dostawie nowych katorżników wyjechałem na samochodzie załadowanym skrzyniami ze złotem, a obok mnie dwóch strażników. W szoferce jechał komendant, który jak zwykle nadzorował każdy konwój z kruszcem. Jechaliśmy po uciążliwych, krętych, wyboistych, górskich i stepowych drogach przez wiele dni. Po drodze także zaopatrywaliśmy się w drewno dla napędu pojazdu.

NAD AMUREM

W mieście Niewier, przed magazynem kolejowym robotnicy pod nadzorem straży rozładowali skrzynie ze złotem. Po załatwieniu formalności komendanta, pojechaliśmy pod komisariat NKWD. Tam komendant wręczył pismo dotyczące mojej osoby, potwierdzone przez komisarza NKWD w Bodajbo. Komisarz z Niewier przeczytał dokument. Spojrzał na mnie przelotnie a komendanta zaprosił do swojego gabinetu. Wkrótce funkcjonariusz NKWD odprowadził mnie do obozu ze skazańcami. Okazało się, że to był obóz skazanych cywilów którzy za cara sprawowali władzę na wysokich i średnich urządach. Władza radziecka nazywała ich "burżujskie parazyty", czyli burżuazyjne pasożyty. Traktowani byli równie źle jak skazańcy wojskowi. W Niewierze budowaliśmy stację kolejową. Potem układaliśmy tory zaczynając od stacji w kierunku wschodnim, wzdłuż rzeki Amur. Praca była ciężka. Wielu skazańców umierało z wycieńczenia i zostało pogrzebanych w nasypach kolejowych.

W tym obozie poznałem Aloszę, który pochodził z Nowosybirsk. Łączyły nas te same znajome strony. Nawzajem pomagaliśmy sobie w niedoli. Alosza opowiadał jak podczas rewolucji i po jej zakończeniu wieszano lub rozstrzeliwano bogaczy, a wszystkich carskich urzędników skazywano na katorgę. Spędził jedną zimę na robotach w poznanej już przeze mnie tajdze lecz nad rzeką Jenisej. Katorżniczo także pracował w wielu regionach Syberii. Miał też, tak jak ja tzw. "znak rewolucji", czyli bliznę po ranie na czole, doznaną podczas przesłuchania na komisariacie NKWD. Po czterech latach w Niewierze, przywieziono nas do pracy do chabarowskiego portu. Cięliśmy tam grube pnie na tarcicę. Następnie segregowaliśmy obrobione drewno i ładowaliśmy na promy zaczepione do statków parowych. Surowiec nieustannie dowożono saniami oraz rzadziej samochodami. Było tego tyle, że nie nadążaliśmy z przeróbką. Z Chabarowska, Amurem drewniany budulec płynął jeszcze dalej na wschód, nawet aż na Sachalin.

Latem praca niszczyła zdrowie skazańców. Z powodu upałów, a często z pragnienia ludzie mdleli i umierali. Większą część zmarłych wywożono za miasto, gdzie ich grzebano. Pomimo zakazu część ciał wrzucano do rzeki Amur.

Mój trzeci rok pobytu w Chabarowsku stał się całkiem znośny. Mieliśmy dobre wyżywienie oraz więcej czasu na odpoczynek. W rocznicę rewolucji, miasto udekorowano na czerwono. Huczało od śpiewu i muzyki. W przeddzień rocznicy otrzymaliśmy nowe ubrania robocze. Zorganizowano nawet dla nas zabawę taneczną na deskach ułożonych przy porcie. Nie brakowało chętnych dziewcząt by z nami się zabawić. Po dziesięciu latach tubylcy przyzwyczaili się do komunistycznej władzy. Podczas zabawy skazańców po raz pierwszy traktowano jak zwykłych robotników. Mijały dni i miesiące. Więźniowie nabierali siły, przybierali na wadze. Nastął rok 1927. Na Daleki Wschód zawitała wiosna. Patrzyliśmy i zazdrościliśmy jak wolni ludzie cieszyli, śpiewali i bawili się. Zaczęła w nas kiełkować nadzieja, że także wkrótce otrzymamy wolność. Jednak NKWD czuwało. Wszędzie mieli swoich agentów, którzy donosili na komisariat. o rozmowach zwykłych pracowników ze skazańcami.. Zdarzały się przesłuchania więźniów na komisariacie, które po takich wezwaniach nikt już nie wracał do pracy.

NAJDŁUŻSZY REJS W NIEZNANE

Ten dosyć znośny okres mojej katorgi przerwała wiadomość, że opuszczamy Amur, a właściwie odpływamy. Grupa ok. 70 osób w której między innymi znalazłem się ja i Alosza wchodziła trapem na statek. W porcie na innym statku grał bajan. Melodia walca „Amurskije wołny” kołysała się na falach Amuru, które w takt uderzały o burtę naszego statku. Alosza miał w oczach łzy. Coś złego przeczuwał. Nad Amurem bardzo go polubiłem. Pocieszałem go, by nie tracił nadziei na spotkanie ze swymi rodzicami. Miał zaledwie 29 lat. Przeżywaliśmy razem naszą wspólną gorycz. Płynęliśmy Amurem na wschód w nieznany rejs. Po całodobowej podróży, w Nikołajewsku przesiedliśmy się na parowy statek dalekomorski. Z Amuru wypłynęliśmy na morze Ochockie. Wszyscy skazańcy wyglądali jak żywe mumie. Nikt się nie uśmiechał, nikt nic nie mówił. Słyszeć było tylko przekleństwa marynarskiej załogi i dzwonki na posiłek. Co kilkaset km. zawijaliśmy do wielu portów. Po kilkugodzinnym postoju i uzupełnieniu drewna opałowego płynęliśmy dalej. Morze nigdy nie było spokojne. Od nieustannego kołysania kilku skazańców zachorowało. W tej podróży na statku był lekarz. Płynęli w nim inni więźniowie a także i wolni ludzie. Wszyscy pasażerowie bez wyjątku byli pod opieką lekarza. Nieustanna, morska podróż trwała. Minęliśmy cieśninę kurylską. Płynęliśmy dalej. Myśleliśmy, że płyniemy na Czukotkę. W dziewiątą noc podróży zawiniliśmy do następnego portu. Oznajmiono nam, że jesteśmy w Pietropawłowsku na Kamczatce. Dalej już nie popłyniemy.

Tu pułkownik rozlał resztę wódki z półlitrowki i zapytał ojca....

- *Ja tyle opowiadam, a czy Wy znacie geografię Rosji?*

Ojciec odpowiedział:

-*Byłem w carskim wojsku około czterech lat. Byłem także w Pietropawłowsku, ale w tym za Uralem. Tam budowaliśmy drewniane koszary. Byłem także w Omsku. O Kamczatce i o dalekiej Syberii wiele słyszałem.*

Gdy ojciec skończył opowiadać o przygodach w wojsku carskim, pułkownik zwrócił się do mnie:

- *A Ty Sierozka, znasz Rosję?*

Odpowiedziałem, że ukończyłem 4 klasy rosyjskiej szkoły i byłem dobry w geografii..

- *Bardzo dobrze.* - pochwalił mnie pułkownik. Wypili z ojcem nalaną zawartość i pułkownik opowiadał dalej.

NAD PACYFIKIEM

Po przyplłynięciu na Kamczatkę moja noga nie dotknęła lądu. Przeszliśmy z okrętu trapem wprost na parowy statek rybacki. Po kilku godzinnym odpoczynku wypłynęliśmy na morze Beringa. Tam przez okres paru tygodni łowiliśmy ryby, które na miejscu przerabialiśmy na konserwy. W Pietropawłowsku rozładowywaliśmy towar i znowu wypływaliśmy w rejs. Połowy także odbywały się na morzu ochockim i na Pacyfiku. Przez trzy lata nasza stopa nie dotknęła lądu, oczywiście z wyjątkiem magazynów portowych. Po każdym rejsie skazańców ubywało. Umierali z trudu, tęsknoty i wycieńczenia. Umarłych wrzucano do morza nawet bez worków. W porcie załogę rybaków uzupełniano nowymi skazańcami, których przywoziły statki przybyłe po towar. Z naszej grupy, która wyruszyła z Chabarowska, po trzech latach zostało osiem osób. W czasie ostatniego rejsu Alosza ciężko zachorował. Ja też byłem bardzo słaby.

Trzy dni później Alosza już nie wstawał i nie opuszczał swojej koi. Pewnego dnia, gdy się zjawiłem przy nim, wyszeptał:

- *Ja już umieram.*

Patrzył na mnie błagalnymi, gasnącymi oczami. Zdobył się jeszcze na wysiłek i wyszeptał sylabizując:

- *Jeżeli przeżyjesz, to powiedz mojej mamie, że ja spoczywam koło wysp Kurylskich.*

Podłożyłem mu swoją rękę pod głowę. Wzrok skierował na mnie. Umarł nie zamykając oczu. Kilku skazańców obserwowało tę scenę.

Odpowiedzialnym za załogę był Fiedot. Tylko on jeden stale przebywał na łodzi rybackiej, natomiast pozostała załoga techniczna zmieniała się co rejs. Przyszedł sprawdzić czy Alosza jeszcze żyje. Upewniwszy się że zmarł, przymknął mu powieki. Wskazał na mnie oraz jeszcze jednego więźnia byśmy wynieśli ciało na pokład i wyrzucili za burtę. Wzięliśmy zmarłego za ręce i nogi. Na pokładzie rozbujaliśmy go, po czym wrzuciliśmy do Pacyfiku. Patrzyłem, jak niepokonane sztormowe fale wzięły Aloszę w swoje objęcia. Była to druga ofiara w ciągu rejsu.

Upłynęło kilka dni. Ja i współwięźniowie wyglądaliśmy jak morskie potwory. Niszczyło nas niedożywienie, morska wilgoć, szalejące wiatry oraz piekielna męka. Załoga obsługi statku nie miała dla nas litości. Gdy coś na łodzi nie grało, byliśmy wyzywani od pasożytów i wrogów klasy robotniczej.

Często obserwowaliśmy przybrzeżne wojskowe łodzie patrolowe. Straż strzegła nadbrzeży morskich przed niespodziewanymi atakami Japończyków, Do nas nigdy nie podpływała. Spotykaliśmy wiele okrętów wojennych należących do floty Związku Radzieckiego. Zresztą także i w porcie pietropawłowskim ich nie brakowało. Wręcz było tam więcej wojskowych marynarzy, niż cywilów. Oczywiście istniał surowy zakaz rozmowy z kimkolwiek spoza łodzi rybackiej.

Po śmierci Aloszy minęło kilka dni. Zachorowałem i poczułem się bardzo źle. Miałem wysoką gorączkę. Po dwóch dniach nie mogłem już wykonywać swoich prac przy połowach. Oczywiście nie zwolniono mnie z obowiązków. Gdy upadłem na pokład, Fiedot oznajmił kapitanowi, że nie jestem już zdolny do ciężkiej pracy. Przydzielony zostałem na lżejsze stanowisko pod pokładem. Tam wypatroszyłem kilka ryb i znowu upadłem. Tym razem już sam się nie podniosłem. Po odzyskaniu przytomności leżałem w swojej koi. Przy mnie trzymając w ręku szklankę herbaty stał Fiedot. Gdy otworzyłem oczy przyłożył mi ją do ust i kazał pić. Wypiłem kilka łyków, a Fiedot powiedział:

- *No Puryn, trzymaj się, jeśli nie chcesz pływać z rybami.*

Patrzył na mnie. Od wysokiej temperatury byłem cały w dreszczach. Przykrył mnie drugim kocem i wyszedł. Pomimo ciepła w kajucie okryty dwoma kocami nadal cały dygotałem. Wydawało mi się, że jestem na pokładzie, a fale sztormowe bijące o burtę oblewają mnie lodowatą wodą. Czułem, że już wkrótce podzielę los Aloszy. Byliśmy niedaleko wysp Kurylskich. W rozpaczliwej samotności rozmyślałem, że będę spoczywał blisko Aloszy. Po chwili usnąłem. Nie wiem jak długo spałem. Gdy się obudziłem, przy mnie znowu stał Fiedot, który do mnie coś mówił. W końcu zaczął krzyczeć. Nie miałem siły się odezwać, ale wciąż byłem przytomny. Leżałem bez ruchu. Słyszałem jak Fiedot oddala się szybkim krokiem. Minęło

trochę czasu. Usłyszałem, że do mnie podchodzą jacyś ludzie. Pomyślałem, że chyba jeszcze żywego wyrzucą mnie za burtę. Otworzyłem oczy. Przede mną stała grupa ludzi. Myślałem, że to sen. Obok mojej koi stało trzech oficerów, jeden z marynarki wojennej, dwóch z NKGB (Nardonyj Komisariat Graždanskoj Biezopasnosti), a także kapitan statku i Fiedot. By się upewnić, że to nie mara, zdobyłem się na wysiłek. Podparłem się rękami i uniosłem się w koi. Myślałem, skąd oni się tu wzięli? Czyżby oni przybyli tu po to, by odczytać mi jakieś oskarżenie i wrzucić żywego do Pacyfiku? W tej krótkiej chwili w mojej głowie przemknęło tysiące myśli. Jeden z oficerów, podszedł do mnie bliżej i zapytał:

- *Wy lejtnant Puryn?*

Kiwnąłem głową, że tak. Oficer w tej chwili stanął przede mną na baczność i zameldował:

- *Jestem kapitan Jermołow. Z rozkazu Klimenta Jefremowicza Woroszyłowa mam Was żywego odstawić do Moskwy.*

Nie zrozumiałem co to wszystko znaczy. Czego ci komisarze ode mnie chcą. Z niesamowitego wrażenia i z powodu ciężkiej choroby straciłem znowu przytomność.

MIŁOŚĆ Z KAMCZATKI

Gdy odzyskałem przytomność, leżałem w luksusowej pościeli. Obok mnie siedział lekarz ze słuchawkami zawieszonymi na szyi. Z drugiej strony łóżka stał kapitan z NKGB, który przed utratą przytomności na statku złożył mi niedorzeczny meldunek. Byłem w szpitalu w Pietropawłowsku. Gdy spojrzałem na lekarza powiedział mi:

- *Wszystko będzie dobrze.*

Spojrzałem na kapitana, który stał po drugiej stronie łóżka i z uśmiechem powiedział:

- *Woroszyłow z Was robi jeszcze kamandira.*

Czułem się bardzo słabo, nie mogłem rozmawiać. W myślach bez rezultatu rozwiązywałem niepojętą zagadkę. Pograżonego w myślach opanował mną sen. Gdy się obudziłem i otworzyłem oczy, myślałem, że nadal śpię. W tym cudownym śnie widziałem piękną dziewczynę z czarnymi warkoczami zwiniętymi w o kół głowy. Stała pochylona nade mną i wpatrywała się ze współczuciem w moją zniszczoną twarz. Wydawało mi się, że mam skrępowane ręce i zakneblowane usta. Chciałem dla niej uczynić jakiś miły gest. Byłem bezsilny. Mogłem jedynie tylko na nią patrzeć. Wkrótce uświadomiłem sobie, że to nie sen lecz jawa. Przez prawie trzy lata nie widziałem kobiety. Pielęgniarka Dasza, bo tak miała na imię, czuwała podczas mojego snu. Gdy się obudziłem, natychmiast wybiegła. Za moment wróciła w asyście lekarza i lejtnanta Dunina, tego samego, który z kapitanem Jermołowem eskortował mnie chorego do Pietropawłowska. Przez lekarza zostałem zbadany.

- *No i jak z jego zdrowiem?* - spytał lejtnant lekarza.

- *Mam nadzieję, że będzie dobrze,* - padła odpowiedź.

Zaraz po badaniach lekarz z pielęgniarką wyszli. Czuwał przy mnie tylko anioł stróż w mundurze NKGB. Za kilka minut powróciła moja piękność z tacą medykamentów. Czymś

delikatnie nacierała moją potwornie wyglądającą twarz oraz ręce. Potem poczułem ukłucie. Patrząc na nią, znowu zapadałem w głęboki sen. Gdy się obudziłem, siedział przy mnie drugi anioł stróż, kapitan Jermołow. Z uśmiechem odezwał się do mnie:

- Wy długo spaliście. Potrzebujecie czegoś?

Podziękowałem mu za troskliwość i poprosiłem o wodę. Kapitan szybko wyszedł i zaraz powrócił z lekarzem oraz pielęgniarką, która usiadła przy mnie i przyłożyła szklankę z płynem do ust. Następnie zostałem znowu zbadany. Lekarz zakładając słuchawki na szyję powiedział:

- No Puryn, masz szczęście, że ci oficerowie w czas się Tobą zaopiekowali. Żeby nie oni, byłbyś już za burtą. Być może los Ci jeszcze przeznaczył wiele ziemskich spraw do załatwienia.

Kiedy lekarz wyszedł, zjawiała się moja piękna nieznajoma. Zrobiła mi zastrzyk. Delikatnie posmarowała moją zniszczoną twarz i wyszła. Patrzyłem na nią jak odchodziła, zachwycając się jej ruchami. Siedzący obok mnie lejtnant dostrzegł moje zainteresowanie i zapytał:

- Wspaniała, co?

-Bardzo, ale ja mogę tylko o niej marzyć.

- Wszystko jeszcze przed Tobą. Znajdziesz jeszcze niejedną piękność.

Po chwili dziewczyna wróciła z talerzem zupy i postawiła go na szafce przy łóżku. Pomogła mi się podnieść i zapytała:

- Jak Ci na imię?

- Misza.

- A ja Dasza.

Poprawiła poduszkę i zaczęła mnie karmić jak niemowlaka. Wpatrzony w nią jak dziecko w matkę połykałem podawaną strawę. Nagle z powodu jej troski i wrażeń w moich oczach pojawiły się łzy.

- A Ty czego płaczesz?

- Ze szczęścia. Jem smaczną zupę, o której marzyłem przez ponad 13 lat. Pierwszy raz w życiu patrzę w tak piękne oczy dziewczyny. Oprócz tego żal rozrywa moje serce. Tego żalu Ty Dasza nigdy nie zrozumiesz.

Pielęgniarka odstawiła talerz i wycierała moje łzy. Lejtnant dostrzegł, że między mną a Daszą rodzi się coś wielkiego. Wyszedł.

- Misza, ja wszystko wiem i rozumiem. Kapitan Jermołow opowiadał nam o Twojej katordze. Mój ojciec także przeżywał to co Ty i dlatego ja także znalazłam się na Kamczatce. Mój ojciec przed rewolucją posiadał własny, pasażerski parostatek. Zatrudniał kilku marynarzy. Każdego lata z bliższych i dalszych okolic Syberii do Ułan Ude przybywali turyści. Ojciec zabierał ich w dwutygodniowy rejs. Turyści zwiedzali rzekę Solengę, jezioro Bajkał w szerz i

wzdłuż. Zwiedzali duże miasta jak Irkuck, Angarsk i inne. Ogromną rzeką Angarą dopływali aż do nieprzebitego progu „Padun”. Gdy ojciec wracał z rejsu, zasypywał prezentami mamę i mnie. Ostatnim prezentem od ojca przywiezionym z zabajkalskich gór był kotek, uszty z futerka szynszyla. Z tym prezentem, jako z maskotką nigdy się nie rozstawałam. Nazywałam go „papik”, myśląc o moim papciu, który mnie bardzo kochał. Po tragicznych wydarzeniach rodziców, trafiłam do domu dziecka. Miałam wtedy 9 lat. Byłam zawsze smutna i zapłakana. Od tej chwili zawsze w myślach widzę obraz, jak moja mama upada rozstrzelana. Jak dla ojca nie pozwolono ze mną się pożegnać, Zabrano go o de mnie i pędzono pod bagnetem. W Ułan Ude ukończyłam szkołę pielęgniarstwa. Po jej ukończeniu wywieziono mnie aż na Sachalin. Pracowałam tam w szpitalu w Aleksandrowsku. Po dwóch latach pobytu na Sachalinie przywieziono mnie na Kamczatkę. Upokarzające moje akta, podążyły zawsze za mną jak cień. Figuruję w nich jako dziecko wywodzące się z burżuazji. Tu na Kamczatce mam pozostać do końca swego życia. Wiem, że Ty Kamczatkę musisz opuścić. Nasze zapoznanie się i pierwsza wielka miłość przysporzy mi cierpienie i pozostawi jedynie najpiękniejsze wspomnienia szczerych wyznań miłosnych na szpitalnym łóżku.

- Moja najdroższa, los, który mnie czeka jest wielką rewolucyjną tajemnicą. Przypuszczam i mam wielką nadzieję, że nasz los się odmieni. Jeżeli moi struże strzegą mnie jak oka w głowie, to bądź pewna, że w przyszłości postaram się byśmy byli na zawsze razem. A gdy to nastąpi będę Cię także strzegł jak oka w głowie.

Po tych wyznaniach rozżalona i ze łzami w oczach Dasza chwyciła mnie w objęcia. Taką to scenę miłosną zastał kapitan wchodzący do mojej sali.

- A Ty co Dasza, chcesz go zabić, a nas Woroszyłow ma rozstrzelać? Puryn winien spokojnie wypoczywać, a Ty nie powinnaś się tu więcej pokazywać!

Tuż za kapitanem wszedł lekarz.

- A ty kapitanie czego tak ryczysz. Czy nie rozumiesz, że to ich pierwsza, wielka miłość w życiu?

Kapitan zbity z tropu przez lekarza znów zaczął krzyczeć.

- Cuda, czort nie rozumie, skąd wzięła się taka miłość!

Dasza zmieszana szybko wybiegła z talerzem z sali. Lekarz znowu mnie zbadał.

- No i patrz. - Zwrócił się lekarz do kapitana – za parę dni, chory będzie gotowy do żeniaczki.

- Przepraszam, - powiedział kapitan, - ale ja za jego życie odpowiadam.

- Nie obawiaj się, - powiedział lekarz i wyszedł.

Zrobiło się ciemno i cicho. Świeciło tylko małe światełko, przy którym kapitan czytał gazetę. Ja wciąż myślałem o Daszy. Marzyłem, by jak najszybciej się zjawiła. W końcu odważyłem się zadać kapitanowi pytanie.

- Co to wszystko znaczy? Dlaczego mój los tak się odmienił?

Kapitan uśmiechnął się i rzekł:

- Spokojnie, to tajemnica wojskowa. W Moskwie wszystkiego się dowiesz.

Skoro to było tajemnicą wojskową, więc na ten temat nie zadawałem więcej pytań. Przez następny cały dzień Dasza mnie nie odwiedzała. Kapitan zabronił jej odwiedzin do czasu gdy zaczną chodzić. Zastąpiła ją także miła, ładna blondynka. Z tęsknoty za Daszą, by jak najszybciej ją zobaczyć, wstałem z łóżka i opierając się o nie poruszałem się posuwając nogami. Kapitan bacznie mnie obserwował. Na chwilę przestałem się opierać o łóżko i oddaliłem się od niego kilka kroków. Czułem, że jeszcze jestem słaby. Aby nie upaść, zrezygnowałem z dalszych kroków. Gdy się położyłem, kapitan powiedział:

- Widzę, że z Tobą wszystko w porządku. Chyba miłość Daszy przyspieszy Ci leczenie.

Zaraz po mojej próbie chodzenia wszedł lejtnant i zapytał kapitana:

- Jak się czuje chory?

- Nie źle - odpowiedział kapitan.

- No tak, chory ma się dobrze, a Dasza siedzi i płacze. Nic nie jadła przez cały dzień.

- A czort ich zrozumie, - powiedział kapitan i zaraz obaj wyszli.

Mineło kilka minut, gdy pojawiła się Dasza. Zapłakana z tęsknoty i radości chwyciła mnie w objęcia i całowała mnie bez końca. Oboje wiedzieliśmy, że do mojego wyjazdu żadna siła już nas nie rozdzieli. Od tej chwili Dasza odwiedzała mnie wiele razy dziennie. Gdy tylko wchodziła, stróże opuszczali moją salę. Po kilku dniach wychodziłem już z Daszą na spacer. Nikt nas nie pilnował. Żadne z nas dotychczas nie wiedziało, że na świecie może istnieć tak wielka miłość. Kochałem Daszę więcej niż swoje nic nie warte utrudzone życie. Tulilem ją i pieściłem. Płakaliśmy oboje z niepewności. Z trwogą czekaliśmy na nieuniknione rozstanie. Przyszekaliśmy, że będziemy na siebie czekać choćby do końca życia. Przysięgaliśmy sobie dożgonną i wierną miłość. Po tygodniu nabrałem sił. Ubrano mnie w piękny, nowy garnitur. Dasza zachwycała się mną. Kapitan i lejtnant byli zadowoleni. Patrząc na nas, cieszyli się z naszej niespotykanej wielkiej miłości. Lekarz Lewuszyn był dumny, że przyczynił się do powrotu mojego zdrowia. Był szczęśliwy, kiedy patrzył na nasze szczęście.

POŻEGNANIE Z KAMCZATKĄ

Nadszedł wreszcie dramatyczny, pożegnalny dzień. Siedziałem z Daszą na przedzie do portu. A z tyłu za nami szedł cały orszak szpitalnej obsługi. Obok nas szli moi stróże. Na redzie ostatni raz patrzyłem w cudowne, zapłakane i pełne trwogi oczy. Żegnałem się z bardzo życzliwą obsługą szpitalną. Kiedy już miałem ruszyć na pokład statku, Dasza upadła na kolana, objęła moje nogi i lamentowała, że umrze i nie doczeka się mnie. Chwyciłem ją za ramiona i podniosłem. Całowałem i zapewniałem ją, że długo za mną nie będzie tęsknić. Lekarz Lewuszyn podszedł do nas i wziął Daszę pod rękę. Jego oczy także błyszczały od łez. Wszyscy płakali. Kapitan z pokładu okrętowego ponaglał, by zakończono pożegnanie. Odczepiano cumy. Wbiegłem na pokład. Gdy już byłem przy swoich aniołach stróżach, kapitan powiedział:

- Oj Puryn, coś Ty narobił! Ja takiej miłości jeszcze nie widziałem!

- Sam nie wiem i nie rozumiem skąd to się wszystko wzięło.

Opuszczałem Kamczatkę. Z pokładu statku patrzyłem na jej kawałeczek bezcennego mojego życia. Była nim moja Dasza. Patrzyłem jak ona zapłakana, otoczona swoimi przyjaciółmi znika we mgle razem z niezapomnianym kawałeczkiem świata. W czasie długiej morskiej podróży cały czas rozmyślałem o Daszy. O swojej rodzinie. Czy ktoś jeszcze z niej żyje? O rodzicach Daszy, którzy przeżywali rewolucyjną tragedię. O sieroctwie swojej ukochanej. Myślałem dniami i nocami, gdy tylko dostanę jakieś mieszkanie, w jaki sposób ściągnąć cierpiącą Daszę z zesłania. Miałem nadzieję, że zapoznam się z przyjaciółmi, którzy pomogą mi w tej sprawie. Celem mojego życia stała się tylko Ona. Dręczyło mnie przez cały czas jak moja zagadkowa tajemnica zostanie rozwiązana. Po wielodniowej podróży przyплыliśmy do Nikolajewska. Dalej statkiem rzeczny płynąłem znowu Amurem, lecz w odwrotnym kierunku. W Chabarowsku przesiedliśmy na łódź patrolową pogranicza. Obserwowałem jak skazańcy w porcie na daleko ładowali budulec na promy. Z portu Błagowieszczeńsk jechaliśmy samochodem na lotnisko. Po drodze do Moskwy lądowaliśmy w Irkucku, Nowosybirsku i Czelabińsku. Z wielką goryczą wspominałem i obserwowałem z lotu ptaka te strony, gdzie byłem w pogardzie, poniewierany razem z moimi kolegami, którzy w męczarniach ginęli przez bezduszną, rewolucyjną władzę”. Na tej bezkresnej Syberii została rozsiana moja bezpowrotna trzynastoletnia młodość.

SPOTKANIE Z NAJWYŻSZYM KOMISARZEM

Na lotnisku w Moskwie kapitan Jermołow gdzieś zadzwonił. Po kilkunastu minutach pod gmach lotniska podjechała czarna limuzyna. Wysiadł z niej pułkownik NKGB. Przywitał się z moją asystą. Jermołow przedstawił mnie pułkownikowi. Pułkownik niezbyt życzliwym wzrokiem zmierzył mnie oczami od stóp do głowy. Po przywitaniu się jechaliśmy przez Moskwę. Po drodze pułkownik opowiadał, że Woroszyłow niepokoił się o nas podczas długiego czekania.

Jadąc obserwowałem Moskwę udekorowaną na czerwono w przeddzień trzynastej rocznicy rewolucji. Na flagach powiewały portrety wodzów rewolucji. Całe miasto tętniło życiem. Podjechaliśmy pod zabytkową, murowaną bramę. Czułem, że tutaj wyjaśni się moja tajemnica. Na zwieńczeniu bramy wisiał duży szyld o brzmieniu „Najwyższy Komisariat Ludowego Bezpieczeństwa”. Odgadłem, że tu znajduje się największa władza milicyjna. Po obu stronach szyldu wisiały portrety Stalina i Lenina, a powyżej portret Woroszyłowa. Z okazji nadchodzącej uroczystości, brama była bogato udekorowana. Zanim otworzono bramę, podszedł do nas oficer. Przeprosił nas i zgodnie z zarządzeniem sfotografował limuzynę z jej pasażerami. Po dokonaniu czynności przez fotografa, brama się otworzyła. Po obu jej stronach stało na baczność kilku strażników. Kilkadziesiąt metrów jechaliśmy aleją wysadzoną iglastymi drzewami. Przed wejściem do pałacu na wysokich schodach, znowu przeżyło się dwóch następnych. Krocząc korytarzem wysłanym carskimi dywanami, co kilka metrów sceny się powtarzały. W sekretariacie siedziało kilku oficerów NKGB. Na nasz widok wszyscy wstali. W sekretariacie kazano mnie poczekać. Pułkownik kroczył do następnych drzwi. Zapukał. Z za drzwi usłyszałem:

- *Wejść!*

Pułkownik otworzył drzwi. Stał na baczność i zameldował:

- *Towarzyszu komisarzu, lejtnant Puryn przybył!*

- *Dziękuję*, - odpowiedział Woroszyłow.

Po chwili usłyszałem donośny głos.

- *Lejtnant Puryn, wejść!*

Wszedłem do dużej luksusowej sali. Jej widok przypominał kremlowską cerkiew z „carskimi wrotami”. Zatrzymałem się przy pułkowniku. Woroszyłow wstał z fotela i podszedł do mnie. Przywitał się ze mną mocnym uściskiem dłoni. Spokojnie powiedział:

- *Towarzyszu starszy lejtnant Puryn, Wasz ojciec i Wasz brat zginęli w imię rewolucji.*

Ciarki mnie przeszły. Opuściłem głowę. Pomyślałem w duchu, że mój ojciec był zdrajcą cara. A ten sukinsyn chce się usprawiedliwić i mianował mnie o jedną gwiazdkę wyżej. Nie odzywałem się. Stałem przed komisarzem jak podcięte drzewo przed wichrem. Woroszyłow mówił dalej:

- *Wybaczcie, że tak długo cierpiełście. Postaram się zrewanżować za krzywdy jakich doznaliście i za śmierć Waszych najbliższych.*

Wracając do biurka kazał mi iść za sobą. Wyciągnął z biurka pękatą teczkę. Kładąc ją przede mną powiedział:

- *To dla Was. Tu będzie wszystko jasne.*

Położył przede mną następny dokument i kazał podpisać. Dokument ten był potwierdzeniem o odebraniu tajemniczej teczki. Nie wiedziałem co ta teczka zawierała. Nie mogłem zlekceważyć polecenia komisarza i podpisałem. Po tej ceremonii Woroszyłow rozkazał pułkownikowi, by mną się zaopiekował i zapewnił tymczasowy pobyt i odpoczynek w Moskwie. Na pożegnanie najwyższy komisarz podał mi rękę. Życzył powodzenia i wszystkiego najlepszego.

Tak poznałem najwyższego komisarza przedrewolucyjnego, donieckiego ślusarza z nad rzeki Ługanki. A później marszałka i Ministra Obrony Związku Radzieckiego.. Nie zachwycam się jego rewolucyjnymi działaniami, które bezwzględnie likwidowały zamożniejszy naród rosyjski, a w późniejszych latach także i polski. Nie byłem dumny, że ojciec zdradził cara i walczył przeciw własnemu narodowi. Z każdą sytuacją musiałem się pogodzić i korzystać z życia jakie mi los przeznaczył.

W MOSKIEWSKIM HOTELU

Pułkownik odwiózł mnie do hotelu, do którego przed wyjazdem przedzwonił. Tam zjedliśmy obiad. Po obiedzie weszliśmy do mojego pokoju. Pokój był luksusowy. Na stole leżał przygotowany już dla mnie mundur oficerski z trzema gwiazdkami. Przymierzyłem go. Pasował jak na zamówienie. Pułkownik klepnął po ramieniu i powiedział:

- *Będzie z ciebie oficer, za którym będzie wdychać każda dziewczyna.*

Następnie sięgnął po oficerską teczkę i wyjął z niej kopertę z zawartością 300 rubli. Położył ją na stole razem z dokumentem do podpisu, potwierdzający odbiór tej kwoty. Po podpisaniu odbioru pułkownik powiedział:

- *To tylko na początek, reszta powinna być w Twojej teczce. Dalej masz postępować wg zawartych w niej instrukcji.*

Po dokonaniu tych formalności, pułkownik wstał podając rękę na pożegnanie. Poprosiłem go by jeszcze pozostał.

- *O co chodzi?* – zapytał pułkownik.

-- *Mam do Was towarzyszu pułkowniku osobistą prośbę, o której niezręcznie mnie mówić.*

- *Wal śmiało.*

- *Na Kamczatce poznałem dziewczynę, na której mi bardzo zależy. Ona jest niewinną ofiarą rewolucji. W pewnym stopniu nie podlega wolności i nie może opuścić Pietropawłowska.*

- *Oj Puryn, wynika z tego, że zakochałeś się nie na żarty.*

- *Towarzyszu pułkowniku, przekonałem się, że tylko ona potrafi zabić rany rewolucji.*

- *Znam dokładnie tragedię Waszej rodziny, która przyczyniła się do obalenia caratu. Proszę więc mówić o co Wam chodzi.*

- *Jeżeli to będzie możliwe, chciałbym uzyskać dokument, który dla mojej dziewczyny zagwarantował by wolność. Dzięki jej opiece i troskliwości zostałem przy życiu i wróciłem do zdrowia.*

- *To dość przekonujące. Myślę, że Woroszyłow uwzględni Waszą prośbę. O ten dokument spróbuję zadbać. Podajcie jej dane.*

Gdy pułkownik spisywał dane, byłem pewny, że niedługo, na zawsze połączę się z Daszą.

Żegnałem pułkownika szczęśliwy i z wielkim wzruszeniem. W hotelowym pokoju zostałem sam. Z wielkim podnieceniem i lękiem otworzyłem tajemniczą teczkę. Ze spokojem i rozumą przeglądałem wiele dokumentów dotyczących przeszłości. Stwierdziłem, że Woroszyłow o wszystkim pamiętał. Pamiętał o mojej katordze. Pamiętał o moim ojcu, z którym przed rewolucją potajemnie się kontaktował. Był tam także odręczny list Woroszyłowa skierowany do mnie. Zwierzył się, że razem z ojcem w Carycynie uczęszczali do jednej szkoły. Od wczesnej młodości byli zaprzyjaźnieni. Przekonał ojca, że białogwardziści poniosą klęskę, a rewolucja zwycięży. Ojciec bardzo przeżywał zdradę. Martwił się bardzo o mój los. Po rewolucji także mnie poszukiwał. Opisał okoliczności, w których zginęli: mój ojciec i brat. Bardzo mnie to wzruszyło, że matka umarła po stracie męża i synów. Nie mogłem przeboleć, że mój ojciec z bratem zginęli pod Zamościem, podbijając nowo odrodzoną Polskę. Za mało dla Woroszyłowa było krwi bratniej, wyruszyli więc jeszcze po polską krew. Wielce się usprawiedliwiał, że to były potrzeby rewolucji.

By załagodzić mój ból, włożył do teczki książeczkę czekową opiewającą na sumę 4.000 rubli. Był tam także adres siostry, która jako jedyna z pozostałej rodziny została przy życiu. To właśnie ona po stracie ojca kontynuowała poszukiwanie swojego brata. To właśnie ona po trzynastu latach, w ostatniej chwili uratowała mi życie. Podziwiałem wszelkie jej dokumenty, które dotyczyły moich poszukiwań. Teczka zawierała ważne dokumenty i instrukcje jak mam dalej postępować i gdzie się zgłosić.

Po przeczytaniu i przeanalizowaniu dokumentów musiałem spełnić ostatnią wolę Aloszy. Mając adres jego rodziców, napisałem do nich list. Opisałem w nim katorgę swoją i Aloszy i że po śmierci ich syn spoczywa na Oceanie Spokojnym blisko wysp Kurylskich.

W drugim dniu pobytu w moskiewskim hotelu, obserwowałem przez okno miasto. W trzynastą rocznicę rewolucji, na ulicach panował duży ruch. Całe miasto było czerwone. Ludzie śpiewali rewolucyjne pieśni. Wkoło łopotały flagi i transparenty ozdobione wódkami rewolucji. U wielu ludzi były także fragmenty czerwonego ubioru. Wyglądało na to, że ludzie byli szczęśliwi. Patrząc w zaniepokojeniu na miasto, usłyszałem pukanie do drzwi mojego pokoju. Szybko otworzyłem. Stał w nich mój anioł stróż lejtnant Wania Dunin. Na jego widok bardzo się ucieszyłem. Zaprosiłem go do środka i kazałem usiąść. Nalałem po kieliszku „moskowskiej”.

Wania sięgnął po raportówkę. Wydobył z niej list.

- To od pułkownika. Kazał mi niezwłocznie Ci doręczyć.

Przeczuwałem, że to dobra wieść. Ręce mi się trzęsły gdy otwierałem kopertę. Wania to zauważył i zapytał:

- A Ty co, chory?

- Nie, to tylko z wrażenia, myślę, że tu wewnątrz znajduje się moja nadzieja na szczęście.

Tak jak przeczuwałem, zawartością listu był „żelazny dokument” z pieczęcią Najwyższego Komisarzatu i z podpisem najwyższego komisarza. Z radości uściśnałem i ucałowałem kolegę. On wspominając Daszę nie mniej cieszył się razem ze mną. Pierwszy wzniósł toast za wolność Daszy. Gdy mu się zwierzyłem z zawartości tajemniczej teczki, był też pod wrażeniem szczęścia. Życzył mi jak najrychlejszego spotkania ze swoją miłością. Przed pożegnaniem zostawił mnie swój moskiewski adres. Miał także nadzieję, że niedługo połączę się z Daszą i zapraszał nas w odwiedziny i poznania jego rodziny. Zwierzył mi się, że tak pięknej i miłej dziewczyny jak Dasza jeszcze nie spotkał. Czułem się dumnym od takich pochwał.

Święto obchodów rewolucji trwało trzy dni.

ODWIEDZINY

Zaraz po obchodach rewolucji wybrałem się w pierwszą podróż z Moskwy. Był to lot za Ural do Czelabińska. Tam właśnie mieszkała moja siostra. Chciałem jej podziękować za jej niezmierny trud włożony w moje poszukiwania. Była sama, bez rodziny, bowiem mąż ją porzucił. Bardzo nienawidził jej carską przeszłość. Po rozwodzie ożenił się z córką politruka. Wyjechał z nią do tundry agitować Eskimosów. Siostra żyła skromnie. Była nauczycielką. Z przesłanej depeszy od Woroszyłowa wiedziała już, że jestem w Moskwie. Z wielką niecierpliwością czekała na moje odwiedziny. Gdy tylko przekroczyłem próg jej domu, rzuciła mi się na szyję. Z tak niebywałego spotkania zalewaliśmy się oboje łzami. Z wrażenia żalu i radości nie mogliśmy przemówić słowa. Była to nieopisana radość, która łączyła nas wzajemnym współczuciem przeszłą gorycz i cierpienie. Przez kilka dni opowiadała dla mnie o rewolucji, o rodzinnej tragedii, o swoim niepowodzeniu w życiu. Następnie ja opowiadałem dla niej także o rewolucji, o katordze, o tragediach swoich kolegów. Uważnie słuchając moich opowiadań i zwierzeń, przytuliwszy się do mnie przez cały czas płakała. Podczas spacerów z nią po mieście pocieszałem ją w samotności. Spół czuwałem jej w cierpieniu. Obiecałem, jeżeli się zgodzi to w przyszłości zabiorę ją do siebie do Charkowa. Pożegnanie nasze było bardzo bolesne. Nie umieliśmy powstrzymać łez. Mieliśmy nadzieję, że jeszcze nie raz spotkamy się w życiu.

ODPOCZYNEK I ŚLUB NA KRYMIE

Z Czelabińska przez Moskwę, przyleciałem do Charkowa. Tam musiałem się przygotować do pracy w Wyższej Oficerskiej Szkole Saperów. Woroszyłow postanowił, że zostanę tam wykładowcą. Poznałem dyrektora, wykładowców i zapoznałem się z uczelnią. Potem obejrzałem swoją kwaterę, którą mnie przydzielono. Było to naprawdę profesorskie mieszkanie dla całej rodziny. Co za szczęście, pomyślałem. Przecież już mogę sprowadzić Daszę. Tajemnicza teczka, zawierała także dokument o dwumiesięcznym odpoczynku na Krymie. W Charkowie przez całą pierwszą noc myślałem, żeby jak najprędzej uwolnić Daszę od cierpień. Nazajutrz rano jechałem pośpiesznym pociągiem na Krym. Późnym wieczorem, byłem już w Sewastopolu. Zamieszkałem w marynarskim hotelu. Przez całą noc układałem plan na następny dzień. Rano po otwarciu poczty wysłałem przekazem do Daszy tysiąc rubli i list polecony pocztą lotniczą, w który włożyłem dokument zapewniający dla Daszy całkowitą wolność. W liście błagałem ją aby jak najszybciej opuściła Kamczatkę. Wraziłem także swoją tęsknotę za nią. Podałem adres hotelu w Sewastopolu, a także do Charkowa, o ile jej podróż przedłuży się o ponad dwa miesiące. Z poczty podążyłem do NKGB (Nardonyj Komisariat Graždanskoj Biezopasnosti). Przed zameldowaniem milicjant wnikliwie analizował moje dokumenty. Gdy na dokumentach dostrzegł pieczęć i podpis Woroszyłowa, przyjrzał się mojej twarzy. Chyba się zdziwił, że jak na mój wiek mam zbyt niską rangę. Mijały dni i tygodnie. Sewastopol tętnił zabawami oraz różnymi imprezami, lecz ja z tęsknoty za Daszą niczym się nie interesowałem. Zapanowała zima, z nudów wałęsałem się po porcie. Był przenikliwy ziąb. Sztormowe fale rozbiły się o burty przycumowanych okrętów. Patrząc na wzburzone fale i las dymiących kominów na okrętach, przypomniła mi się tragiczna katorga. W takich chwilach wspominałem umierających kolegów i niezapomnianego przyjaciela Aloszę. By się rozgrzać, zachodziłem do baru na szklankę herbaty, a czasem z tęsknoty za Daszą, pozwoliłem sobie na szklaneczkę wódki. W barze poznałem oficerów z marynarki wojennej. Po kilku spotkaniach nawiązała się między nami prawdziwa przyjaźń. Matrosy namawiali mnie na zabawy do oficerskiego klubu, lecz im odmawiałem. Śmiali się ze mnie, ale przyznawali mi rację, gdy im opowiedziałem o swej wielkiej miłości. Żartowali czasami, że życie jest krótkie i trzeba z niego korzystać. Nie dałem się przekonać. Wolałem być samotny i wspominać chwile, które były dla mnie najdroższe w życiu. Minął miesiąc, tęsknota za Daszą wzrastała. Po sześciu tygodniach byłem zaniepokojony. Nie pojawieniem się mojej ukochanej. Zbliżał się Nowy Rok. Miasto przygotowywało się do obchodów tego święta. Na ulicach ustawiano wysokie świerki. Dekorowano je wielokolorowymi świecidełkami. Nic mnie nie cieszyło. Przestałem chodzić do baru. Całymi dniami w hotelu z tęsknoty spędzałem czas w swoim pokoju. Traciłem nadzieję, że kiedykolwiek spotkam się z Daszą. Przygniatała mnie rozpacz. Pewnego wieczoru, by pozbyć się koszmarnych myśli, postanowiłem wyjść do baru. Podczas golenia usłyszałem lekkie pukanie do drzwi. Dziwnie przeczulem, że to Ona. Serce mi załomotało, pobiegłem otworzyć drzwi. Stała za nimi w futrze i z walizką w ręce moja wylękniona i utrudzona Dasza. Gdy mnie zobaczyła, wypuściła walizkę z ręki. Rzuciła mi się na szyję i całowała, nie zważała na ciekawskich mieszkańców hotelu, chodzących po korytarzu. Dwoje z nich zatrzymało się obserwując tak niespotykaną scenę zakochanych. Wstawiłem walizkę za drzwi. Chwyciłem Daszę na ręce i wniosłem ją do swojego pokoju i posadziłem na kanapie. Wkrótce po pierwszych wrażeniach Dasza przytuliła się do moich piersi, podniosła głowę z zaszklonymi oczyma od łez i wyszeptała:

- Drogi Misza, Ty tak wielce poświęciłeś się dla mnie i dokonałeś cudu. Jakże ogromnie mnie kochasz. Ja chyba umrę ze szczęścia.

Pomyślałem sobie, że dla tej chwili warto było poświęcić katorgę. Patrzyłem na nią ze współczuciem, że przetrwała tak daleką podróż. Zaraz kazałem jej usiąść przy stole i zamówiłem posiłek na dwie osoby. Pierwszy raz tylko we dwoje jedliśmy razem kolację ciesząc się pięknem

swojej miłości. Po posiłku przez całą noc w objęciach, opowiadaliśmy o wzajemnej tęsknocie. Słuchałem Daszy z zainteresowaniem, jak boleśnie i dzielnie znosiła rozłąkę. Jak po otrzymaniu moich przesyłek krzyczała z radości na cały szpital. Jak z jej szczęścia cieszył się cały szpitalny personel, razem z doktorem Lewuszynem. Jak zgłosiła się do sekretariatu NKGB po zezwolenie na wyjazd. Kiedy jeden z pracowników komisariatu przejrzał jej akta, oświadczył:

- Obywatelka z Kamczatki nie wyjedzie do końca życia.

Dasza wzburzyła się i zażądała spotkania z komisarzem „Rajkomu”. (Rejonowy Komisariat). Komisarz także po przejrzaniu akt potwierdził stanowisko swojego pracownika i w końcu powiedział:

- Obywatelka jest pod stałym naszym nadzorem, a na żaden wyjazd zezwolenia nie damy.

Gdy Dasza powiedziała, że ma zagwarantowaną wolność przez Klimenta Woroszyłowa, komisarz roześmiał się na cały komisariat. W końcu powiedział:

- Wariatka.

Wstał z krzesła by opuścić stukniętą petentkę. Dasza kazała mu poczekać. Wydostała z torebki swój „żelazny glejt” i położyła na stole przed stojącym komisarzem. Komisarz dostrzegł ważną pieczęć potwierdzającą dokument. Sięgnął ręką po glejt i usiadł z powrotem. Po przeczytaniu i zapoznaniu się z jego oryginalnością, z niedowierzaniem patrzył raz na niesamowity dokument raz na Daszę. Wstał z krzesła i podszedł do pracownika. Położył przed nim „żelazny glejt” i powiedział:

- Sporządzamy odpis.

Gdy odpis był gotowy, zwracając oryginał Daszy powiedział:

O- *Nie będę dociekać, ale obywatelka musi być ważną osobą dla naszego, głównego komisarza.*

Po podpisaniu ważnego dokumentu na opuszczenie Kamczatki komisarz wręczył go Daszy. Przeprosił ją za uniesienie. Na pożegnanie podał jej rękę, życząc szczęśliwej podróży do Sewastopola.

Z wielkim żalem żegnała się Dasza z życzliwą, jakże lubianą załogą szpitala. Opuszczała Kamczatkę wolna i szczęśliwa. Zostawiła ponure wspomnienia z zesłania, miłe z przyjaznym personelem szpitala i najpiękniejsze chwile pierwszej, swojej, wielkiej miłości. Z wielką tęsknotą z wielkimi trudnościami podążała do niej na spotkanie. Podczas dalszych opowiadań dostrzegłem, że Dasza jest bardzo zmęczona i wyczerpana po tak dalekiej i długiej podróży. Nagle usnęła w moich ramionach. Okrywałem ją i całowałem jak matka swoje dzieciątko. Przez całą noc przy świetle nocnej lampki patrzyłem na jej spokojną, najdroższą twarz na świecie. Rozmyślałem o jej niewdzięcznym losie. O jej niezwykłej dobroci. To przecież Ona wstrzymała mi pierwszy zastrzyk, który powstrzymał moją agonię. Troska lekarza Lewuszyna i moich „stróżów” zdecydowała, by teraz być przy niej. Pragnąłem czuwać nad nią połączonym węzłem małżeńskim przez całe życie. W tą nigdy niezapomnianą noc, dziękowałem Bogu za dar, na który nie mogłem się napatrzyć. Co rusz przy łóżku spoglądałem na jej maskotkę, którą jej ojciec w prezencie przywiózł z zabajkalskich gór. Nie rozstawała się z nią jako małe dziecko w chwili straszliwej tragedii jej rodziców. Kiedy jeden z oprawców wyrwał jej „papika” z rąk i rzucił na lód na zamrznięty brzeg rzeki Selengi, rzuciła się po nią. Środek tej wartkiej rzeki prawie nigdy nie zamarzał. Po takiej rozpaczliwej scenie, nawet oprawcom skruszyły się serca. Pozwolili jej ją

.mieć Jej tragiczne wspomnienia mieszały się razem z tragedią mojej rodziny. Dopiero gdy budził się dzień krymskim porankiem, usnąłem jak kamień, trzymając swój skarb w objęciach.

Przez kilka dni nie wychodziliśmy z hotelu, nie mogliśmy się sobą nacieszyć. Ustaliliśmy datę ślubu. Pewnego dnia uszczęśliwieni, ciesząc się pełnią życia wyruszyliśmy na spacer po bulwarach Sewastopola. Chciałem także spotkać się z zaprzyjaźnionymi oficerami i przedstawić im swoją miłość. Zaprowadziłem Daszę do znanej kawiarni. Zamówiłem herbatę i słodycze. Wkrótce zjawili się stali bywalcy tej kawiarni. Szybko nas dostrzegli i skierowali się w naszą stronę. Przedstawiłem im Daszę. Kapitan Woronin witając się z nią i patrząc jej w oczy powiedział:

- No tak, Misza, opłaciło Ci się cierpienie trzynastu lat, by na swej beznadziejnej drodze spotkać taką krasawicę. Życzę Wam razem, byście na dalszej wspólnej drodze życia nie utraciliście znalezionej, swego szczęścia.

Starszy lejtnant Kryszkin też był zauroczony Daszą. Wpatrzony w jej piękno, nie szczędził nam miłych życzeń. Z uciechy, że wielka miłość zwyciężyła powiedział:

- Przyszedł czas, by zapomnieć o ponurych wspomnieniach i utopić je w szklankach.

Ruszył do bufetu. Szybko zorientowałem się o co chodzi i wyprzedziłem go. Pierwszy toast wnieśliśmy za nasze z Daszą szczęście, a drugi za Czarnomorców. Kiedy trunek rozweselił nasze humory, zaproponowałem miłym przyjaciółom, by zostali świadkami na naszym ślubie. Czarnomorcy z tej propozycji byli bardzo zadowoleni.

Po kilku dniach w luksusowej restauracji, uroczyste obchodziliśmy nasz ślub. Nowy Rok witaliśmy już jako małżonkowie w klubie oficerskim „Czarnomorec”. Powoli zbliżał się koniec mojego wypoczynku, więc po raz ostatni wybraliśmy się na występy do klubu. W czasie spektaklu słuchałem nudnych stalinowskich i rewolucyjnych pieśni. Na koniec marynarze wypełnili scenę. Rozległa się chóralna pieśń „Czornoje more, Swieszczennyj Bajkał”. Po moim ciele jakby przeszedł prąd. Przygniotły mnie wspomnienia o katordze. Dla mnie to nie był Święty Bajkał jak w piosence, lecz piekło, którego na nim doznali niewinni ludzie. Ze wzruszających wspomnień moje oczy zaszkliły się łzami. Dasza to dostrzegła. W końcu i ona przypominając ojca i matkę rozplakała się na dobre. Chwyciła mnie w objęcia nie zważając na widzów. Wokół nas zawrzało od pomówień. Widzowie nie patrzyli na scenę, lecz na nas. Jedni mówili:

- Jak im nie wstyd?

A drudzy mówili, że to widok prawdziwej miłości. Jeszcze inni bili brawa, gdy wstaliśmy i opuszczaliśmy salę. Zrozumieli nas tylko: kapitan Woronin i lejtnant Kryszkin. Oboje zaraz wyszli za nami. Zatrzymali nas na szerokich schodach. Kapitan Woronin mówił ze współczuciem:

- Chyba już nadszedł czas by zapomnieć o przeszłości, która już się nie wróci. Przed Wami piękne życie i wielka miłość!

Zaprosiłem wspaniałych przyjaciół na pożegnalną kolację do restauracji. Z życzliwymi przyjaciółmi spędziliśmy większą część nocy. Przy pożegnaniu serdecznie uścisnęliśmy się i życzyliśmy nawzajem szczęśliwego życia. Do hotelu wróciliśmy szczęśliwi i zmęczeni.

WE WŁASNYM DOMU

Nazajutrz rano, z przytuloną do mnie Daszą jechaliśmy pociągiem do Charkowa. . Podczas podróży snuliśmy plany naszego wspólnego życia. W Charkowie Dasza zachwycała się naszym mieszkaniem i każdym przedmiotem. W przypływie radości zapytała mnie:

– *Czy my przypadkiem nie trafiliśmy do raju?*

Nie dowierzała, że jej życie w tak krótkim czasie, przekroczyły granice jej marzeń. Wzięła mnie za rękę, przyprowadziła do łóżka i kazała usiąść. Usiadła także przy mnie. Objęła mnie, położyła głowę na moich kolanach i nagle usnęła. Nie dziwiłem się. Po takich wrażeniach, w tak krótkim czasie jej słaby organizm, doprowadził do tak twardego snu. Gdy na drugi dzień słońce zaglądało w nasze okna, obudziłem się. Przy mnie siedziała Dasza. Czekala na moment mojego przebudzenia. Zdążyła obudzić się pierwsza i chciała mnie zaskoczyć swoją troskliwością we własnym domu. Zdążyła już posprzątać całe mieszkanie i nakryć do stołu. Wkrótce spożywaliśmy pierwsze śniadanie w naszym przytulnym mieszkaniu. Dasza wyjątkowo starała się, by nasz związek nigdy i niczym nie był zakłócony. Po wykładach w uczelni, stęskniony pędziłem jak najszybciej do swego gniazdka, o które żona z wielką troskliwością dbała. Po roku przysłała na świat córeczka, która powiększyła nasze szczęście. Otrzymała na imię Wiera tak jak mama Daszy. Po trzech następnych latach moja ukochana Dasza spowiła syna. Daliśmy mu imię Grysha, to takie, jakie miał mój ojciec. Chciałoby się powstrzymać czas, by tak wspaniałe chwile, tak szybko nie upływały. Czas jednak szybko mijał, a dzieci rosły. Wiera była piękna, a Grysha był takim samym urwisem jak ja kiedyś w Carycynie.

Przez cały czas korespondowałem ze siostrą. Zapraszałem ją, by przyjechała w odwiedziny, względnie do nas na stałe. Obiecała, że z pewnością przyjedzie jak tylko wszystko ułoży. Po trzech latach po naszym spotkaniu napisała, że drugi raz ożeniła się i ma bardzo dobrego męża. Odwiedziny z roku na rok odkładała.

WOROSZYŁOW

Było już po północy. Moja mama i siostra zmęczone poszły spać. Pułkownik pomimo protestów ojca przyniósł drugą butelkę zdobyczej. Siadając powiedział:

- *Drogi Tomasz, co mi więcej pozostało w życiu, jak tylko wypić szklanek gorzałki, by na jakiś czas ulżyć cierpieniom po tak tragicznej utracie swojej ukochanej rodziny.*

Nalał do szklanek i wypili. Pułkownik opowiadał dalej....

W wolnych chwilach, po wykładach na uczelni interesowałem się przeszłością. Chciałem poznać prawdę, jak było w moich rodzinnych stronach przed rewolucją, w czasie rewolucji i po rewolucji. Opierałem się na dokumentach Woroszyłowa, opowiadaniach siostry, rewolucyjnej literaturze. Chciałem wiedzieć, czy Woroszyłow w liście do mnie czegoś nie zataił lub skłamał. Poszukiwałem świadków dawnych wydarzeń. Jednego z nich udało mi się odnaleźć. Brał on udział w walce podczas szarży ułańskiej Piłsudskiego pod Zamościem. W czasie bitwy przebywał blisko mojego ojca, który dowodził pułkiem podlegającym Pierwszej Armii Konnej Klimenta Woroszyłowa i Siemiona Budzionnego. Ale o tym za chwilę. Teraz opowiem o Woroszyłowie i przebiegu rewolucji nad Donem.

Woroszyłow za młodu odbywał służbę w kozackiej armii, gdzie bardzo dobrze opanował wojskowe, kozackie rzemiosło. Nad Donem tradycyjnie każdy musiał odbywać służbę w kozackich szeregach. Woroszyłow był bardzo wrażliwy na krzywdę biednych kozackich

chłopów, których bogaci nazywali „mużykami”/prostaki/. Ciężko pracowali na daninę dla kozackich oficerów, którzy mieli nad Donem bogate stanice. Atamani nie mieli litości dla prostego kozactwa, ściągali od nich haracz, niby na potrzeby kozackiej armii. Gdy Woroszyłow zdecydował opuścić kozackie szeregi, atamani go namawiali by pozostał. Nie przystał do tego i zaczął interesować się programem komunistycznych działaczy. Zrodziła się w nim myśl by im dopomóc w organizowaniu rewolucji. W tym celu otworzył prywatny zakład ślusarski w Ługańsku nad rzeką Ługanką. Pogłębił kontakty konspiracyjne z innymi działaczami. Oficjalnie w swoim zakładzie zatrudniał i uczył kozacką biedotę do wykuwania białej broni niby na potrzeby kozackiej armii. Po cichu wypracował specjalną technologię hartowania szabel przeznaczonych dla atamanów i wyższych oficerów. Polegała ona na tym, że po kilkakrotnym, silniejszym uderzeniu, szabla musiała się złamać. Każdy taki egzemplarz cechował tajemniczym znakiem „Klim”, bo tak go skróconym imieniem nazywała kozacka biedota. Dyskretnie ją agitował i organizował do zrywu przeciw caratowi. Zbliżał się czas wybuchu rewolucji. Konspiracyjnie utworzoną konnicę Woroszyłow uzbroił w szable ze stali wysokiej jakości.

Pierwsze uderzenie skierował na bogate i silnie obwarowane stanice. Atamanów i wyższych oficerów nie brał do niewoli. Wyrok śmierci wykonywany był natychmiast. Pozostałych kozackich przeciwników zmuszał pod groźbą śmierci do wstąpienia w szeregi swojej armii. Ci, którzy odmawiali lub uciekali dzielili los atamanów. Nad Donem powstał straszliwy popłoch. Bogatych kozaków zabijano lub wieszano, palono ich stanice. Na słowo „klimki” (pochodne od imienia wodza) bogacze truchleli, zaś u biedoty wzbudzali radość i nadzieję na lepszą przyszłość. Na spotkanie z konnicą Woroszyłowa wychodzili z domów całymi rodzinami. Całowali im buty i konie. Głaskali pochy z szablami. Zapanowała panika w carskiej armii. Po pogromie atamanów nad Donem, z Charkowa wysłano na odsiecz duże siły białogwardzistów. Woroszyłow zdecydował, że taktycznie korzystne będzie ruszyć na Carycyn, gdzie miał liczne tajne kontakty. Miał nadzieję, że zdoła przyłączyć do siebie żołnierzy tamtejszego carskiego pułku, którym kierował przyjaciel z ławy szkolnej podpułkownik Puryn. Mogło to znacznie wzmocnić oddziały czerwonoarmistów przed decydującą o wszystkim walką z białogwardzistami. Wpław swoją konnicą sforsowano Don i uderzono na Carycyn. Po stosunkowo słabej obronie Puryn ze swoim pułkiem poddał się. Woroszyłow chociaż trochę młodszy od ojca, przekonał go do idei i zwycięstwie rewolucji.

Pomoc białogwardzistów wysłana z Charkowa została rozbita przez inne oddziały rewolucjonistów nim doszła do Carycyna.

Po upadku caratu, mój ojciec pozostał w szeregach rewolucyjnych. Młodszego syna, mojego brata Piotra ojciec trzymał przy sobie i uczył wojennego rzemiosła. Mama z siostrą przez całą rewolucję mieszkwały w Carycynie. Zaraz po rewolucji siostra ożeniła się i wyjechała z mężem do Czelabińska.

Młoda władza radziecka nie zdążyła jeszcze zaprowadzić porządku w swoim kraju i zbliżnić rewolucyjne rany, a już jej przywódcom zachciało się dokonać agresji na Polskę.

Armia Michaiła Tuchaczewskiego, Kaukazka Konna I Armia pod dowództwem Siemiona Budzionnego z Konną Armią Woroszyłowa i inne armie nawałą gnali, by także w Polsce zaprowadzić swój porządek. A później dokonywać dalszej, zaplanowanej agresji na zachód Europy. Ta wyprawa zakończyła się pogromem Armii Czerwonej i tragedią mojego ojca i brata. Oto opis walk pod Zamościem z relacji świadka:

Relacja świadka bitwy pod Zamościem

„Wiosną 1920 roku gdy wkroczyliśmy na tereny Polski myśleliśmy, że nie zsiadając z koni i nie wyciągając szabli z pochwy dojedziemy do Warszawy. Nagle napotykaliliśmy na coraz większy opór. Po obu stronach walczących ginęli ludzie i padały konie. Była już jesień kiedy dotarliśmy pod Zamość. Nasz sztab pułku pozostał nieco z tyłu swoich wojsk. Pułkownik Puryn zarządził odpoczynek. Podczas rozpalania ognisk zostaliśmy nie spodziewanie napadnięci. Szarżujący polscy ułani od razu wzięli górę, gdyż nie byliśmy przygotowani na jakąkolwiek walkę. Trwała rzeź, rżały konie. Padali pokotem ci, którzy nie zdążyli dosiąść koni. Widziałem jak pułkownik Puryn, dostał cięcie w rękę, wypuścił szablę i spadł z konia. W chwilę potem jego syn Piotr z podciętą głową spadł pod kopyta rozszalałych koni. To była bitwa, jakiej nie widziałem podczas całej rewolucji. Zdziesiątkowani Kozacy, z przerażeniem uciekali z pola walki. Ja także lekko oberwałem. Uciekających goniła polska kawaleria. Kogo dopadła, siekała na kawałki. Mnie udało się uciec. Sam bezradny, w rozpacz postanowiłem wrócić do domu. Tułałem się w odludnych miejscach, po lasach, po mokradłach. Kilkakrotnie grzązłem w bagnach. Nie raz myślałem, że zostanę w nich na zawsze. Pokonywałem koniem w pław kilka rzek. Gdy ostrożnie podjeżdżałem do jakiegoś chutoru, pytałem:

- Biali byli?

Gdy usłyszałem odpowiedź, że nie - oddychałem z ulgą. Często otrzymywałem od biednych ludzi chleba, ziemniaki a nawet i zapałki. A gdy usłyszałem od kogoś, że w pobliżu są ułani wracałem znów w niedostępne bagna. Doczekawszy zmroku, jechałem dalej. Każdego dnia prosiłem współczuwających ludzi o jakiś posiłek. Kryłem się także od wojsk kozackich, gdyż wiedziałem co mnie czeka za ucieczką z pola walki. Po dwóch miesiącach dotarłem do swojego chutoru niedaleko Dniepropietrowska. Bałem się pokazać ludziom na oczy, by władze nie posądziły mnie o dezercję. Dwa dni cieszyła się mną żona i dzieci. Ktoś mnie dostrzegł. Na trzeci dzień przyjechało po mnie w zaprzęgu konnym dwóch wojskowych. Po krótkim sądzie wojennym otrzymałem wyrok 10 lat ciężkich robót za dezercję. W roku 1930 wróciłem z syberyjskiej katorgi”.

Kliment Jefriemowicz Woroszyłow (1881-1969). Od roku 1925-1934 był ludowym komisarzem a także i ministrem spraw wojskowych ZSRR. Od 1934-1940 Ludowym Komisarzem Obrony ZSRR. Od 1935 roku Marszałek Związku Radzieckiego. Był współodpowiedzialny za czystkę w Armii Czerwonej. W 1941 był dowódcą Frontu Leningradzkiego. W 1942 roku główny dowódca ruchu partyzanckiego. W roku 1940 w pewnym stopniu był także współodpowiedzialnym za zbrodnię katyńską.

Od 1904 roku aż do śmierci pełnił w Rosji wiele niezliczonych funkcji. Miał wiele kg, odznaczeń w tym dwie złote gwiazdy Bohatera Związku Radzieckiego.

NIESPODZIEWANY GOŚĆ

Pod koniec lata 1940 roku, zbliżała się dwudziesta (po zwycięstwie Wielkiej Rewolucji) rocznica istnienia naszej uczelni. Otrzymaliśmy depeszę z Moskwy, że na cześć ważnego wydarzenia do uczelni przybędzie ważna delegacja z Ministerstwa Obrony Narodowej. w sprawie profesorskich awansów. Przez kilka dni przygotowywaliśmy się do jej przyjęcia. Kiedy nadszedł ten dzień, pod uczelnię podjechały trzy limuzyny. Ja z dyrektorem wyszliśmy na spotkanie z ważnymi gośćmi. Zdziwiłem się kiedy zobaczyłem wysiadającego z pierwszej limuzyny barczystego pułkownika. Był nim mój były anioł stróż kapitan Jermołow. On też od razu mnie poznał. Gdy do nas się zbliżył, dyrektor pułkownik Łomski zameldował pułkownikowi Jermałowowi gotowość uczelni na przyjęcie moskiewskich gości. Po przywitaniu się z dyrektorem witałem się w uścisku z Jermołowem. Wywołało to u dyrektora lekkie zdziwienie. Jermołow zwierzył się dyrektorowi, że ja jestem jego przyjacielem. Po tak miłych wrażeniach, wszystkich gości zaproszono do środka uczelni. Dyrektor pułkownik Łomski przedstawił

gościom swoich profesorów. Następnie zaproszono gości do suto zastawionego stołu. Potoczyła się rozmowa na temat jubileuszu uczelni. Po posiłku przeszliśmy do głównej auli uczelni, gdzie rozpoczęła się najważniejsza ceremonia. Na początku, pułkownik Jermołow odczytał dokument z Ministerstwa Obrony skierowany do dyrektora uczelni, pułkownika Łomskiego. Treść listu zawierała podziękowania za wieloletni trud kierowania uczelnią. Za wykształcenie wielu wybitnych fachowców zasilającej kadrę oficerską Armii Czerwonej. Ministerstwo z wielkim ubolewaniem kierowało 70 letniego dyrektora na zasłużoną emeryturę. Na koniec po wymienieniu zasług dyrektora pułkownik Jermołow udekorował go „Orderem Lenina”. Oklaski były ogromne. Drugi z kolei byłem ja. Pułkownik Jermołow odczytał dokument awansu mnie na podpułkownika i mianowanie na stanowisko dyrektora uczelni. Dekoracji szlifów dokonał sam Jermołow. Wręczył mi dokumenty potwierdzające awans i stanowisko dyrektora. Za zasługi nauczycielskie na uczelni, przy wielkim aplauzie kolegów, zostałem także przez niego udekorowany „Orderem Aleksandra Newskiego”. Ponadto wszyscy oficerowie otrzymali awanse o jeden stopień wyżej i zostali udekorowani medalami. Podsumowując ceremonię pułkownik Łomski podziękował władzy radzieckiej za troskę o lepszą przyszłość uczelni. Po tak doniosłej ceremonii, dla jej uczczenia wszyscy profesorowie wraz z gośćmi wrócili do biesiadnego stołu. Pierwszy toast był na cześć emerytowanego już dyrektora. Następny toast był skierowany do mnie. Wszyscy profesorowie wraz z moskiewską delegacją, życzyli mi na przyszłość jeszcze większych sukcesów w kierowaniu uczelnią. Gdy sala podczas biesiady zapełniła się gwarem, zwróciłem się do Jermołowa z zaproszeniem odwiedzenia Daszy i naszych dzieci. Pułkownik z radością przyjął zaproszenie. Przeprosiliśmy wszystkich biesiadników i wyruszyliśmy do mieszkania mojej rodziny, uprzedzając wcześniej telefonicznie Daszę. Na progu mieszkania czekała z niecierpliwością tak wspaniałego gościa, który przyczynił się do jej przyszłego szczęścia. W mieszkaniu uściskał moją żonę swoimi potężnymi ramionami. Podrzucał do góry jak piłeczki nasze dzieci. Nie odrywał oczu od Wiery i w żartach mówił:

- Oj będzie z niej krasawica, a nie jeden oficer straci dla niej głowę.

Cieszyło go nasze szczęście rodzinne. Był dumny że przyczynił się do tego.

Jermołow dużo wiedział o historii mojego i Daszy życia, a my o jego prawie nic. Zwierzył nam się tylko że jadąc do Charkowa był z zamiarem, by pogłębić naszą przyjaźń. Pierwszy wzniesiony toast przez pułkownika wypiliśmy za szczęście mojej rodziny. Wkrótce poprosiłem przyjaciela, by opowiedział coś o swoim życiu. Dasza także nalegała, by opowiedział z jakich względów znalazł się z Wanią na Kamczatce, by ratować Miszy życie i dlatego ma zmieniony mundur. Jermołow był w tarapatach. Zastanawiał się nad tym. Wreszcie nabrał odwagi pod warunkiem dyskrecji.

Tak oto streścił historię swojego życia i wyprawę na Kamczatkę.

„Ja i Wania Dunin pochodziliśmy z miasta Kazań. Mieszkaliśmy na jednej ulicy i uczęszczaliśmy do jednej szkoły. Jesteśmy rówieśnikami i oddanymi przyjaciółmi od małego dziecka. Nasi ojcowie jako robotnicy pracowali na kolei. Brali udział w rewolucji i oboje za nią zginęli. Ja także z Wanią, jako bardzo młodzi ludzie braliśmy udział w rewolucji. Cały czas przebywaliśmy w Kazaniu przy stacji kolejowej. Pilnowaliśmy zdobytych, carskich magazynów żywnościowych, by ich nie rozkradała miejska biedota. Wielu takim biedakom ratowaliśmy życie przed głodem. Pomimo srogich zakazów, gdy tylko nadarzyła się okazja rozdawaliśmy ją. Byliśmy zadowoleni ze swojej pomocy.

Po zwycięstwie czerwonogwardzistów, leninowska władza bardzo troszczyła się o młodych rewolucjonistów, a tym bardziej o sieroty, których ojcowie oddali za nią życie. Kierowano ich do najlepszych szkół. Nauka trwała w trybie przyśpieszonym z konieczności potrzeby kierowniczych kadr. Ja z Wanią ukończyliśmy Akademię Wojskową w 1924 roku. Przez

rok byliśmy na niej wykładowcami. W roku 1926 Woroszyłow został Najwyższym Komisarzem Ludowym. Poszukiwał odpowiednich ludzi do swojego urzędu. Zainteresował się naszymi życiorysami. Zostaliśmy wcieleni do jego służby bez pytania się o naszą zgodę. Poznaliśmy metody pracy i paragrafy za różne przestępstwa. Byliśmy przerażeni. Wycofać się z tego nie mieliśmy żadnych szans. Po roku mianowano nas na funkcje inspektorów Obłastnych (wojewódzkich) Komisariatów. Wojewódzcy komisarze z wyższą rangą od nas przeżyli się przed nami. Czuliśmy się, że posiadamy wielką władzę. Nie mieliśmy z niej żadnej satysfakcji. Byliśmy uczuleni na ludzkie krzywdy spowodowane przez miejscowych komisarzy. Podczas inspekcji sprawdzaliśmy akta skazanych. Wielu nieszczęśnikom łagodiliśmy kary. Niektórzy wojewódzcy komisarze sprzeciwiali się naszym działaniom i pisali skargi do Woroszyłowa. Po otrzymaniu kilku takich skarg, nasz zwierzchnik zwołał posiedzenie komitetu. Padły różne opinie. Czuliśmy oboje, że nasza kadencja w NKGB będzie zakończona. Jeden pułkownik zaproponował, by nas zdegradować do szeregowców i wyeliminować z szeregów władzy Związku Radzieckiego. Połowa członków posiedzenia propozycji tej nie poparła. Do Woroszyłowa więc należała ostatnia decyzja. Najwyższy komisarz wygłosił więc mowę. Wynikało z niej, że ludzi zasłużonych w rewolucji i poświęcenia dla niej życia ich ojców nie możemy tak surowo karać. Członkowie komitetu aplauzem poparli decyzję swojego zwierzchnika. Ukarano tylko Wanię, który mnie chronił i wziął całą odpowiedzialność na siebie. Otrzymał karę pozbycia się należnego awansu na kapitana. Ja natomiast otrzymałem tylko nagane. Obaj przed zebraniem komitetem musieliśmy przyrzec, że nie podejmiemy w przyszłości szkodliwego działania przeciw zasadom NKGB.

Wkrótce po tym wydarzeniu Woroszyłow znowu zwołał posiedzenie wszystkich oficerów swojego komisariatu. Krótko przedstawił zasługi carskiego pułkownika Grygoria Puryna, który przyłączył się podczas rewolucji do armii czerwonogwardzistów. Opowiedział o jego bohaterskiej śmierci wraz ze swoim synem Piotrem. Najwyższy komisarz mówił dalej”:

- O takich zasłużonych bohaterach władza Związku Radzieckiego musi pamiętać. Dla tego chcę, by między Wami znalazło się dwóch ochotników w podróż na Kamczatkę. Tam przebywa na zesłaniu drugi syn pułkownika Michaił Puryn. Był on także carskim oficerem. Ja jako przyjaciel pułkownika Grigoria Puryna, nie mogę zapomnieć jego zasług w czasie rewolucji. Za jego najwyższą ofiarę dla niej moje sumienie nakazuje, by jego syna Michaiła sprowadzić do mnie do Moskwy. Wiem, że ta droga będzie daleka i uciążliwa dla tych, którzy wyrażą chęć dokonać tego czynu. Czekam więc na zgłoszenie się dwóch ochotników do dokonania tej misji.

„Na sali wśród zebranych zapanowała cisza. Nikt się nie zgłaszał. Woroszyłow srogim wzrokiem patrzył na zebranych. W tym momencie Wania spojrzał na mnie a ja na niego. Uśmiechnęliśmy się wzajemnie. Ten uśmiech był naszym, wspólnym wyrażeniem zgody do ratowania jeszcze jednego człowieka. Wania natychmiast zgłosił swą kandydaturę, a po nim zgłosiłem się ja. Twarz komisarza rozchmurzyła się. Przywołał nas do mównicy. Przed wszystkimi zebranymi podziękował nam serdecznie. Kazał zgłosić się do kancelarii komisariatu po odpowiednie dokumenty. Na koniec życzył nam szczęśliwej i owocnej podróży. Na drugi dzień żegnaliśmy się ze swoimi rodzinami i zapłakanymi żonami, które z niepokojem przyjęły naszą decyzję. Z Moskwy misję swoją rozpoczęliśmy aeroflotem. Gdy maszyna już była w powietrzu, poczuliśmy się wolni, że na dłuższy czas pozbyliśmy się niewdzięcznej służby. Dręczyła nas tylko tęsknota za swoimi rodzinami. Podróż samolotem a później statkami trwała kilka tygodni. W Pietropawłowsku zgłosiliśmy się na komisariat NKGB. Wyjaśniliśmy cel swojej podróży. Zabraliśmy za potwierdzeniem akta skazańca. W porozumieniu się z urzędem rybackim została określona szerokość geograficzna, na której znajduje się poszukiwany statek z daną osobą. W sztabie Marynarki Wojennej zarezerwowaliśmy łódź patrolową. Po czterech godzinach odnaleźliśmy swój cel. Ja z Wanią byliśmy przerażeni, kiedy odnaleźliśmy Ciebie w beznadziejnym stanie. Byliśmy świadomi, że nasza misja będzie bezowocna, nie taka jakiej nam

życzył Woroszyłow. Przez cały czas, aż do odzyskania Twojej przytomności byliśmy w panice, że będziemy wracać z niczym. Przez kilka dni w szpitalu w Pietropawłowsku czuwaliśmy nad Tobą w zakłopotaniu i beznadziejności nad twoim życiem. Kiedy lekarz Lewuszyn zapewnił nas, że wrócę w pełni do zdrowia, czuliśmy się szczęśliwi jak po oficerskim awansie. Ze zdziwieniem obserwowaliśmy Waszą miłość. Teraz przepraszam bardzo, że na jakiś czas musieliśmy Was rozdzielić. Ze względu na Twój stan zdrowia musieliśmy to uczynić”.

W tym momencie Dasza rzuciła się na szyję swojego dobroczyńcy. Gorąco całując przyjaciela dziękowała mu za wszystkie tak wspaniałe czyny. Za tak piękne słowa i za tak wielkie uczucia.

Czas upływał. Służba przyjaciela ponaglała na powrót do Moskwy. Przed pożegnaniem powiedział:

- Nie zdążyłem Wam o wszystkim opowiedzieć. Przy następnym spotkaniu w Moskwie opowiem Wam ciekawą historię, jak się zapoznałem ze swoją żoną. Myślę, że będziemy wesoło się bawić. Mam drugi ciekawy temat. Opowiem go w Moskwie, jakim sposobem udało nam się z Wanią opuścić niewdzięczną służbę w NKGB. A stało się to wtedy, kiedy Woroszyłow został mianowany na stanowisko Narodowego Komisarza Obrony ZSRR

Ostatnie jego słowa brzmiały:

- Dziękuję Wam bardzo za lekcję w pietropawłowskim szpitalu. Ona mnie nauczyła i potwierdziła, że w życiu człowieka największym bogactwem jest prawdziwa miłość. Cieszę się bardzo, żeście docenili jej walory. Życzę Wam, byście w niej trwali przez całe życie.

Jermołow zostawił nam swój moskiewski adres i koniecznie zapraszał nas na następne wakacje w odwiedziny do siebie. Zapewniał nas także, że podpułkownik Wania Dunin, który nadal z nim pracuje, ucieszy się na pewno niespodzianką naszych odwiedzin.

II WOJNA ŚWIATOWA

Czas płynął. Bez problemów kierowałem uczelnią. Termin na wakacje do Moskwy był już ustalony. Dasza miała wiele problemów w wyborze odpowiedniego ubioru w tak ważną gościnę. Dzieci z niecierpliwością oczekiwały na zwiedzenie Moskwy.

22 czerwca 1941 roku nagle spadła na nas groźna wiadomość o niemieckiej agresji na Rosję. Wszelkie plany odwiedzin zostały pogrzebane. Na twarzy Daszy pojawił się wielki smutek i trwoga. Niemiecka armia błyskawicznie przeszła przez tereny pogranicza. Front załamał się na wielu odcinkach. Po dwóch miesiącach trwały już walki w obronie Moskwy i Leningradu. Te legendarne, oblężone miasta przez wroga pomimo ogromnych strat zostały nie do zdobycia. Cała Rosja była przerażona, słuchając komunikatów w radio, o bestialskich czynach niemieckiej armii na narodzie rosyjskim.

Po skierowaniu większych, niemieckich sił na południe ZSRR otrzymałem depezę z Moskwy, z Głównego Sztabu Wojennego by natychmiast zamknąć uczelnię. Wszystkim studentom nadać stopnie wojskowe podoficerskie i oficerskie w zależności od ukończonych lat na uczelni i skierować ich do Wojenkomatów. (Wojennych Komitetów). Po tych czynnościach natychmiast stawić się w Wojenkomacie w Stalingradzie. Po raz drugi i niestety jak się później okazało ostatni, pożegnałem się z Daszą i dziećmi. Opuszczałem rodzinne gniazdo wpatrzony w cierpiącą twarz żony i w zapłakane oczy moich dzieci. Przeczuwałem, że przekłeta wojna

rozdziela nas na zawsze. Na pożegnanie zjawił się także nasz życzliwy sąsiad Wołodia Kurpienko. Wziął Daszę pod ramię, by mnie uwolnić od jej rozpaczliwego objęcia. Złękniiony syn objął moje nogi i prosił:

- Tatusiu, wracaj szybko, bo bez ciebie nas Niemcy zabiją.

Odjeżdżałem od nich na zawsze, czułem to i na pierwszym zakręcie, gdy wysoki dom zasłonił moją rodzinę, rozplakałem się jak osierocone dziecko. Kierowca zatrzymał samochód i mnie uspokajał:

- Towarzyszu pułkowniku, tak nie przystoi, wszystko przed nami. Niemców rozgromimy i szczęśliwie wrócimy do domu.

W Stalingradzie znowu mianowano mnie na zastępcę dyrektora Wyższej Uczelni Wojskowej. Ta istniejąca sprzed wojny uczelnia z chwilą agresji Niemiec na Rosję została o wiele powiększona na potrzeby wojenne kadr oficerskich. Z Azji masowo napływali młodzi ludzie. Większość z nich nie miała żadnego wykształcenia. Po krótkim przeszkoleniu wysyłano ich na front. Ci co mieli jakieś wykształcenie kierowano ich do tej uczelni. Nauka była bardzo intensywna i przyspieszona. Podczas zajęć usłyszeliśmy w radio druzgocący komunikat: „Przemysłowe miasto Charków zostało zbombardowane przez niemieckich zaborców! Mieszkańcy tego kilkumilionowego miasta przeżywają tragedię! Wzywamy cały radziecki naród, by z poświęceniem bronić Ojczyzny przed zagładą od hitlerowskich wojsk! Cała Rosja pogrążona w żałobie oczekuje waszego bohaterstwa! Śmierć niemieckim okupantom”!

Po komunikacie byłem zdruzgotany psychicznie. Na sali wykładowej zrobiła się cisza. Każdy myślał o tragedii rosyjskiego narodu. Każdy chciał jak najprędzej ruszyć po zemstę na front. Mijały miesiące. Z dnia na dzień pogrążała mnie głęboka rozpacz. Od Daszy nie otrzymałem żadnego listu. Podczas wykładów nie pamiętałem co czynię. Wyobrażałem sobie zabita rodzinę i z myślami byłem przy niej.

Gdy wróg zbliżał się do Stalingradu uczelnię rozwiązano. Absolwenci otrzymali oficerskie awanse. Część z nich wysłano na front, a drugą część zostawiono dla obrony miasta. Po rozwiązaniu uczelni otrzymałem zadanie, by organizować dodatkowy pułk artylerii i umacniania pozycji obronnych na przedpolach Stalingradu. Do mojego pułku kierowano przybywających z różnych syberyjskich republik starszych i bardzo młodych ludzi. Razem z nimi z za Uralu nadchodziły transporty z uzbrojeniem jak: czołgi, działa, katiusze, różna broń zmechanizowana, samochody ciężarowe, skrzynie z pociskami dla dział i moździerzy oraz różne, lżejsze uzbrojenie i amunicja. Na wielu groźnych broniach były dużymi literami napisane farbą olejną imiona dziewcząt, które ją produkowały dla swoich, walczących chłopaków. Na stacji kolejowej w Stalingradzie przez całą dobę, każdego dnia, trwał ożywiony ruch. Byłem pewny, że tu rozegra się decydująca bitwa z niemieckim agresorem. Nadzorowałem rozładunek broni. Wierzyłem, że tak wielkie ilości potężnej broni, wyprodukowanej przez naród rosyjski, a szczególnie przez dziewczęta powstrzyma dalszą agresję wroga na wschód. Oglądałem rozpaczliwe sceny. Na peronach stacji kolejowej żegnano transporty bardzo młodych dziewcząt. Odjeżdżały one za Ural do fabryk zbrojeniowych. Żegnali ich dziadkowie i ojcowie kalecy o kulach. Matki z tobołkami w rękach zalewały się łzami. Splecione ręce w oknach wagonów żegnających i odjeżdżających rozrywały ruszające pociągi. Tak właśnie dziewczęta poświęcały swoją młodość w obronie własnej Ojczyzny. W tym czasie, w obronie ich życia, ginęli na froncie w Zagłębiu Donieckim ojcowie, mężowie i narzeczeni. Bezustannie nadchodzące transporty z bronią, w powrotną drogę zabierały następną, dorastającą młodzież. Ze stacji, broń natychmiast transportowano na rozległe pozycje obronne.

U niemieckich wojsk coraz bardziej malało tempo natarcia. To dlatego, że nasz front był coraz bardziej wyposażany w większe ilości nowoczesnej broni. Pomimo dużych strat wróg nie rezygnował. Parł dalej na wschód. Spod silnie broniącej się Moskwy dużą część swoich wojsk skierował na południe, by zdobyć główny przemysł Rosji i strategiczne miasto Stalingrad. Słynna armia niemiecka podążała nad Wołgę. Władza na Kremlu panikowała. W radiu usłyszeliśmy komunikat samego Stalina:

“Drodzy żołnierze, sierżanci i oficerowie! Rosja umiera! Cofać się już nie mamy gdzie! To tylko od Was zależy, by powstrzymać niemiecką agresję i rozbić bezwzględnego, hitlerowskiego zaborcę! Pokażcie światu kim jest rosyjski naród! Nie dajcie się zhańbić sobie i swojej Ojczyźnie! Rozkazuję więc Wam: dalej ani kroku wstecz!”

Tego żelaznego rozkazu musiał przestrzegać każdy frontowy dowódca. Pomimo to wróg przerwał umocnienia obrony miasta. Z następnych stanowisk obronnych kierowano masowy ogień artyleryjski na najważniejsze punkty natarcia wroga. W ulicznych, straszliwych walkach Stalingrad bronił się przez sześć miesięcy. Ogromne straty ponosili obie strony walczące w zdobywaniu „Kurhan Mamaja”. Było to najwyższe wzniesienie w mieście i najważniejszy punkt strategiczny, z którego można było obserwować większą część miasta i całe zakole Wołgi. Wiele razy przechodził z rąk do rąk stron walczących. Kiedy rosyjska armia zamknęła w kotle pod Stalingradem najśłynniejszą niemiecką armię, wróg nie rezygnował. Wszelkimi siłami z lądu i powietrza chciał otworzyć kocioł. Po poniesionych, olbrzymich stratach był zmuszony uklęknąć nad Wołgą. Nad królową europejskich rzek, o której od wielu wieków śpiewał rosyjski naród. Do niewoli trafiło wielu słynnych generałów. Między nimi jednodniowy feldmarszałek wojsk pancernych Friedrich Paulus.

Stalingrad oszalał ze zwycięstwa. Ogromna radość nie miała końca po pogrzebaniu faszystowskiego hasła „Drang nach Osten”.

Po zwycięskiej bitwie jechałem z raportem do sztabu armii. Mijałem niekończące się szeregi pędzonych jeńców. Tak bojowa armia po pogromie pod Stalingradem wyglądała nad podziw żałośnie. Zniszczyła ją sroga, rosyjska zima i hart ducha rosyjskich żołnierzy w obronie swojej Ojczyzny.

Od Stalingradu Armia Czerwona zmieniła kurs o 180 stopni. Podążaliśmy na zachód. Po kolei wyzwalał miasto. Pod Charkowem znów trwały zacięte walki. Po dużych stratach wróg cofał się na zachód. Z entuzjazmem witano nas w ruinach miasta jako bohaterskich wyzwolicieli. Gdy dojeżdżałem do dzielnicy, w której mieszkałem opanowała mnie trwoga i przerażenie. Zamiast pięknych ulic i domów oglądałem same dymiące ruiny. Na nie odgruzowanych ulicach przejazd był wielce utrudniony. Zatrzymałem się przy swojej uczelni. Była nie naruszona. Wewnątrz i na zewnątrz uczelni panował wzmożony ruch. Zrozumiałem, że ten budynek był zajęty przez poszkodowanych ludzi, których domy zostały zbombardowane. Gdy ruszałem z miejsca, kierując się w stronę mojego domu podbiegł do mnie mój sąsiad Wołodia Kurpienko, który dostrzegł mnie z daleka. Gdy się zbliżał, zauważyłem, że mu brakuje prawej ręki. Przywitał się ze mną i z żalem powiedział:

-Towarzyszu pułkowniku, wasza rodzina nie przeżyła bombardowania.

Po tych słowach przeżyłem szok, który nie da się opowiedzieć. Kiedy uniosłem głowę Wołodia opowiadał dalej...

- Moja żona też zginęła pod gruzami. Mnie służby ratownicze wyciągnęły z rumowiska, gdyż po naloce głośno wzywałem pomocy. Zabrano mnie do szpitala na drugą dzielnicę, gdzie było mniej rannych. Tam amputowano mi rękę. Po dwóch tygodniach, gdy rana po amputacji zagoiła się, to szukałem żony w gruzach. Po następnych dwóch o jednej ręce, odkopałem ją. Inni robili to samo, szukając najbliższych pod gruzami. Nie słyszałem żeby z Twojej rodziny pozostał ktoś żywy. Z całej naszej dzielnicy do tej pory wiele ofiar pozostało jeszcze pod gruzami.

Zabrałem Wołodę do samochodu. Przyjechaliśmy na miejsce tragedii mojej rodziny i jego żony. Opłakując rodzinę, obszedłem z sąsiadem ruiny, gdzie znajdowało się moje mieszkanie. Blok ten musiał być zburzony przez ogromną bombę. Ze wszystkich kondygnacji została tylko góra gruzów. Cały się trząsałem. Nogi pode mną się ugiwały. Chciało się upaść. Stałem nad olbrzymim grobem mojej rodziny, a także i nad ofiarami sąsiednich mieszkań, których nie zdołano ręcznie odkopać. Nie miałem możliwości zobaczyć szczątków swoich najdroższych i pochować jak ludzi. Tam w Charkowie, gdzie zaczynało się moje szczęście razem z moją rodziną cała moja przyszłość umarła na zawsze. Moja, wielka miłość rodzinna pozostała tylko na co dzień głęboko w mojej pamięci. Tam w tym tragicznym miejscu przysięgałem zemstę za rodzinę i za Ojczyznę. Zabrałem sąsiada z powrotem i zawiozłem pod uczelnię. Przed pożegnaniem dałem mu swój polowy adres i prosiłem go, żeby dopilnował odgruzowania mojego domu i gdyby znalazły się szczątki mojej rodziny, dopilnował ich pochówku. Prosiłem także, by po odgruzowaniu koniecznie napisał do mnie list.

W dalszych walkach ponosiliśmy duże straty, ale wróg niezmiennie większe. Podczas parcia na zachód pozostał w pamięci obraz zniszczonej i wygłodniałej Rosji. Niemiecka armia także na Białorusi pozostawiła ogromne zniszczenia i ludzkie cierpienia. Miasta leżały w gruzach. Wioski spalone, a po drewnianych domach krytych słomą i gontem, pozostały tylko osmalone piece z kominami. W końcu jednej ze spalonych wsi, przy drodze stała staruszka z dziewczynką i chłopakiem. Przypominały wzrost i wiek moich dzieci. Kazałem zatrzymać samochód. Patrzyłem na ich nędzny wygląd. Wysiadłem z samochodu i podszedłem do nich. Wyobraziłem sobie, że to moje dzieci. Z tęsknoty za nimi uściskałem je i całowałem. Kazałem kierowcy zostawić cały posiadany prowiant. Babcia uklękła i dziękowała mi. Wychwalała mnie pod niebiosa. Dzieci wpatrzone we mnie mocno przyciskały do siebie torby z prowiantem. W głębi za nimi stała dziwna buda. Po spalonej chacie pozostał piec z kominem. Był wokół obciążony płótnem ze spadochronu. Przy niej stał dziadek w łapciach. Nogi miał również owinięte tym samym płótnem aż do kolan. Z rozmowy z dziadkiem dowiedziałem się, że wieś do ruiny doprowadzili Niemcy w zemście za współpracę z partyzantką. Wielu wymordowali. Pozabijali i pozabierali inwentarz. Pozostałych ludzi przy życiu zostawili w głodzie i nędzy.

W każdych walkach moja chęć zemsty potęgowała się. Na terenach Polski zadawaliśmy dla wroga bolesne ciosy. Dotarliśmy do Warszawy. Nad Wisłą czekaliśmy na rozstrzygnięcie powstania. W tym czasie od Wołodi Kurpienki otrzymałem list. Donosił w nim, że podczas odgruzowania Charkowa ni kogo nie dopuszczano w rejon prac odgruzowywania miasta ciężkim sprzętem. Gruz wywożono daleko po za miasto. Tak oto mój bezcenny skarb życia wywieziono na charkowski śmietnik.

Po klęsce powstania wyzwoliliśmy Warszawę. Po dwóch tygodniach dotarliśmy na niemieckie tereny. W walce o zdobywanie umocnień koło Mezeritc (Międzyrzecz) zostałem ranny odłamkiem artyleryjskiego pocisku.

Pułkownik z żalu rozczulony alkoholem podwinał mundur i pokazał bliznę na prawym boku.

-Niewiele brakowało, a bym z wami tu nie rozmawiał. W szpitalu, w Międzyrzeczu leczyli mnie wojskowi lekarze przez dwa tygodnie. Zdążyłem jeszcze na front, by stoczyć ostatni bój o Berlin.

Tuż po zwycięstwie, na drugi dzień otrzymałem list. Po przeczytaniu adresu nadawcy przeczuwałem, że otrzymam następny bolesny cios w swoim życiu. List był z Czelabińska, ale charakter pisma nie był mojej siostry. Koleżanka opisała chorobę i śmierć ostatniego członka mojej rodziny. Po następnej, tragicznej wiadomości całkowicie się załamałem. Po Berlinie rozlegały się rosyjskie, zwycięskie, wojenne piosenki. Ja w rozpaczę usiadłem przed dużym gmachem na pokaleczone schody. Myślałem, co teraz ze mną będzie? Do kogo mam wracać? Kto na mnie czeka? Gdzie będzie mój dom? Czy teraz warto mi żyć?

Po kilkudniowym odpoczynku po wojnie uzupełnialiśmy dywizję artylerii. Różne niedobitki z wielu oddziałów dołączano do naszej jednostki. Gdy dywizja była uzupełniona, opuściliśmy Berlin. Na dłuższy pobyt wyznaczono nam tereny, na których teraz jesteśmy. Gdy tylko znalazłem się na Waszej kwaterze, napisałem list do Moskwy do Jermołowa. Pomyślałem sobie, że jego na pewno nie ma w domu, a żona jego na pewno mi odpisze. Po miesiącu otrzymałem list od samego Jermołowa, w którym donosił mi, że jest na wojennej rencie inwalidzkiej. Żyje spokojnie w Moskwie ze swoją rodziną. Tylko jego prawą nogę zastąpiła proteza. Nogę utracił od odłamka bomby lotniczej pod Czernihowem. Awans na generała otrzymał po wizytacji naszej uczelni, w ostatniej, przedwojennej rocznicy rewolucji. Zaprosił mnie do siebie na spędzenie powojennego urlopu. W liście, ze wzruszeniem pisał, że bardzo przeżywa tragedię mojej rodziny. Podtrzymywał mnie na duchu, bym się za bardzo nie udręczał. Obiecał mnie wszechstronną pomoc, łącznie z załatwieniem mieszkania w Moskwie. Zakończenie listu przyjaciela było dla mnie kolejnym bolesnym ciosem. Jermołow z ubolewaniem donosił, że nasz wspólny przyjaciel Wania Dunin w randze pułkownika zginął o krok od zwycięstwa na niemieckich terenach pod Ziebingen (Cybinka). Odpisałem przyjacielowi, że z nadejściem wiosny pojawię się w Moskwie.

WIGILIJNE POŻEGNANIE

- Wszyscy wojenni koledzy interesowali się cennymi zdobyczami. Ja skorzystałem tylko z berlińskiej restauracji, w której pozwoliłem sobie na pianino i na kilka skrzynek alkoholu. Mam zamiar ten instrument muzyczny sprezentować dla córki moskiewskiego przyjaciela, która ma także imię jak moja Wiera.

Witał nas już poranek Bożego Narodzenia, kiedy zrozpaczony pułkownik wstał od stołu. Podziękował nam za wszystko i powiedział:

Jestem Wam bardzo wdzięczny, że z takim poświęceniem i wytrwałością wysłuchaliście moich żalów, bowiem bardzo mi to ulżyło, że miałem się komu zwierzyć ze swej niedoli.

Pułkownik wyciągnął do ojca rękę na pożegnanie, chwilę pomyślał i z powrotem usiadł. Dręczyła go jeszcze jedna sprawa, którą w końcu też postanowił się podzielić. Zwrócił się do ojca z zapytaniem:

- Drogi Tomaszu, czy Wy wierzycie w Boga?

Ojciec bez namysłu odpowiedział:

- Tak.

Ja także bardzo wierzyłem w Boga. Moi rodzice byli bardzo głębokiej wiary. Każdego święta cała nasza rodzina szła do cerkwi. Modliliśmy się tylko na stojąco i na kolanach. Ławek w cerkwi nie było tak jak w waszych kościołach. Modliliśmy się także przed dziesiątkami drogocennych ikon, w które był wyposażony pokój modlitewny naszego domu. Modlić się trzeba było w każdej szkole, również w szkole oficerskiej. Głębokie wyznanie wiary było podstawą do szybszego awansu w armii. Modliłem się w Nowosybirsku, kiedy stałem przed cekaemem w szeregu śmierci. Byłem wtedy młodym człowiekiem i chciałem żyć. Liczyłem na cud Boży. To samo czynili moi koledzy. Modliłem się w takt uderzanej siekiery w tajdze nad Irtyszem. Nad przymami umarłych od cierpień kolegów. Modliłem się nad Obem, nad Angarą i na Bajkale. Czyniłem to też w złotodajnych, ponurych górach w dalekiej Syberii. Nie rezygnowałem z modlitwy z rozpaczny nad Amurem, na morzach i oceanie Spokojnym. Gdy włożyłem ponownie szlify oficerskie, mając nadzieję spotkać się ze swoją miłością, dziękowałem Bogu w moskiewskim hotelu, kiedy na ulicach stolicy w rocznicę rewolucji rozlegały się pieśni o jej zwycięstwie. W Czelabińsku, wspólnie z siostrą, modliliśmy się za tragicznie zmarłych członków naszej rodziny. Na Krymie modliłem się za wolność Daszy. Dziękowałem Bogu, kiedy już byłem razem z nią. Marzyłem jak zdobyć ikonę i pomodlić się przed nią, jak za dawnych lat z rodziną, chociaż w tym okresie wierzących prześladowano. Pewnego dnia wracałem na uczelnię z przyborami szkolnymi z innego miasta. W ciężarówce przegrzał się silnik. Kierowca po wsi szukał wody. Byłem ubrany po cywilnemu. Wstąpiłem do jednej ubogiej chatki. Był w niej sam staruszek. Po chwili rozmowy spytałem staruszka, czy u kogoś jeszcze można by było kupić ikonę. Staruszek od razu potraktował pytanie jako podstęp. Odpowiedział, że nic nie wie. Poczęstowałem go papierosem. Zaczęła się szczerza rozmowa o przeszłych czasach. Gdy go żegnałem powiedział, bym zaczekał. Wyciągnął z kufra trzy ikony i kazał wybrać. Spytałem, ile mam płacić. Staruszek stanowczo powiedział, że żadnej zapłaty nie chce. Wyjąłem jednak 30 rubli i położyłem na stole. Staruszek kilkakrotnie mnie dziękował i życzył szczęścia. Ikonę schowałem do teczki. Poprosiłem staruszka, by o tej transakcji nikomu się nie zwierzał. Kiedy wracałem do samochodu, kierowca już na mnie czekał. Obojga w dobrym nastroju wracaliśmy z dobrym towarem. W uczelni miałem jeszcze sprawy inne do załatwienia. Do domu wróciłem późno. Dasza zaniepokojona czekała mnie z kolacją. Kiedy otworzyłem drzwi domu rzuciła mi się na szyję i prosiła, bym starał się nie wracać tak późno. Zawsze czekała mnie z niepokojem kiedy wracałem później. Po kolacji Dasza uspokojona poszła do łóżka. Ja przygotowany do snu wyjąłem z teczki ikonę i postawiłem w swoim pokoju na biurku. Ukląknąłem i zacząłem się modlić, dziękując Bogu za wolność, za szczęście, za zdrowie Daszy i za tak oczekiwane dziecko. Dasza zaniepokoiła się, dlaczego tak długo nie ma mnie w łóżku. Kiedy już byłem rozmodlony, za sobą usłyszałem szelest. Zaniepokojony czekałem, jak na moją scenę zareaguje Dasza. Wkrótce uklękła przy mnie i przeżegnała się. W tej chwili doznałem wielkiego szczęścia, że dalsza modlitwa była wspólna i szczerza. Na koniec modlitwy Dasza ze złożonymi rękami wypowiedziała:

- Dzięki ci Boże za tak wspianatego męża.

Po modlitwie z żalem powiedziała mi, czemu nic nie mówiłem jej o swoich zamiarach. Wybaczyła mi za to i zwierzyła się, że ona także modliła się ukradkiem. Ikonę zawsze po modlitwie chowaliśmy do szuflady. Modliliśmy się przed nią razem aż do ostatniego pożegnania. W Stalingradzie jakże się modliłem po kryjomu, czekając na wiadomość od Daszy.

Na charkowskich gruzach umarła dla mnie modlitwa razem z moją rodziną. Od tej chwili życie dla mnie stało się bez żadnego znaczenia. W moim sercu utkwiała bolesna cierń, której już nikt nie zdoła usunąć.

Od szczerych, tragicznych zwierzeń pułkownika dostrzegłem u ojca łezkę wzruszenia. Wigilijny gość też to dostrzegł. Sięgnął po resztę zawartości butelki. Gdy to wypili, przeprosił nas na chwilę i wyszedł do swojego pokoju. Wkrótce wrócił trzymając w rękach pokaźną, bogato

rzeźbioną szkatułę. Była ona wypełniona wojennymi odznaczeniami i ważnymi dokumentami. Pierwszą rzeczą, którą wydobył ze szkatuły, było nią złote pudełko. Jego pokrywka była zdobiona drogocennymi kamieniami w formie prawosławnego krzyża. Otwierając pudełko pułkownik powiedział:

- Tylko ta pamiątka pozostała po naszej, rodzinnej wierze. W Czelabińsku przekazała mi ją siostra.

W tym pudełku znajdował się złoty krzyżyk na złotym łańcuszku. Był wysadzany identycznymi kamieniami jak na pokrywce. Miał także taką samą wielkość.

- To jest jedna z dwóch identycznych pamiątek po moich rodzicach. Były one zrobione na zamówienie jako prezent ślubny od moich dziadków. Z tymi pamiątkami moi rodzice nigdy się nie rozstawali. Ten krzyżyk zdobił mamy piersi w cerkwi i na każdych towarzyskich przyjęciach.

Następnie pułkownik po kolei pokazywał nam swoje skarby opowiadając o ich historycznym znaczeniu. Najważniejszym odznaczeniem był „Order Aleksandra Newskiego”. Podwójna, pięcioramienna gwiazda połyskiwała złotem. Kolorowe promienie zdobiły jej całość. Na koniec z kieszeni pokrywy szkatuły wydobył kopertę i oświadczył:

- Te wszystkie odznaczenia i dokumenty stały się dla mnie bez wartości. Tylko zawartość w tej kopercie jest bezcennym moim skarbem. Jest to ostatni, rozpaczliwy list od Daszy. Jeżeli pozwolicie, to odczytam jego treść.

- Chętnie posłuchamy - oświadczył ojciec.

Pułkownik wyciągnął z koperty list i zaczął czytać:

„Mój najdroższy Miszeńka! Otrzymałam od Ciebie upragniony list. W tej samej chwili odpisuję Ci. Wierzę i wiem, że bardzo mnie kochasz i nasze dzieci, które za Tobą ogromnie tęsknią. Pytają mnie każdego dnia, kiedy ta wojna się skończy. Przed Twoją ikoną modłę się w dzień i w nocy, by Bóg wysłuchał mojego błagania i zażegnał koszmar wojny. Front z każdym dniem się zbliża. Całe miasto w panice. Dzieci są w strachu. Odmawiają nawet jedzenia. Teraz, gdy na nich markotnych spojrzę, łzy same płyną z oczu, które niezdarnie ukrywam przed nimi. Najdroższy Misza! Wybacz mi, że Cię zasmucam swoimi cierpieniami. Oddała bym wszystko prócz dzieci co posiadam, pojechała bym jeszcze raz na Kamczatkę, byś tak nie cierpiał jak ja.

Pułkownik na chwilę przestał czytać. Patrzyłem, jak po jego pokaleczonej rewolucją twarzy z wielkiego wzruszenia pociekły gorzkie łzy. Wielki żal po tragicznie zmarłej rodzinie nie mogła powstrzymać łez nawet oficerska dzielność. Wycierał je piękną, niebieską chusteczką z pewnością podarowaną przez żonę. Kiedy gość Wieczerzy nie co się uspokoił, przeprosił nas i czytał dalej:

Wiem, co to jest dyscyplina wojenna. Wiem, czym jest dla nas Ojczyzna, dlatego w przerażeniu i tęsknocie musimy być w rozłące. Mój Miszeńka, jeżeli przeżyjesz wojnę, a my zginieemy, nigdy nie zapominaj dzieci i swojej miłości, którą spotkałeś na rozstajnych drogach swego życia i śmierci. Całujemy Cię mocno. Twoja Dasza z dziećmi.”

Pułkownik układając swoje zasługi do szkatuły powiedział:

- *Po wyzwoleniu Charkowa już miałem otrzymać awans na pułkownika. Wyższe dowództwo dostrzegło moje załamanie. Prócz tego mój rodowód także dla niego nie odpowiadał. Dlatego awans wstrzymano.*

Podczas uroczystości zwycięstwa na placu przed Bramą Brandenburską miałem tymi zasługami udekorować swoje piersi. Tego nie uczyniłem. Generał, który dekorował zwycięzców i mianował mnie na pułkownika, zwrócił dla mnie uwagę dlaczego wyglądam tak skromnie podczas tak doniosłej uroczystości.

Po zamknięciu szkatuły pułkownik oto tak podsumował życie:

- Moi drodzy, człowiek od urodzenia galopuje na koniu, którym jest życie. Pędzi na nim do kresu. Dziecko interesuje się pięknem, zabawą, jedzeniem i troskliwą matką. Jego za dużo nie interesuje co to jest kres życia. A to dlatego, żeby jego ciało w beztrójce się rozwijało, a w przyszłości było zdolne do kontynuacji ludzkiego życia na ziemi. Gdy człowiek dorośnie, marzy o miłości, o karierze, o bogactwie. Kiedy swój cel osiągnie, to cieszy się ze swego szczęścia. Przez to zapomina, że jego koń wciąż galopuje do celu. Wielu ludzi jest szczęśliwych przez całe życie i nie chcą dopuszczać do siebie tragicznych myśli. Ale są świadomi, że kiedyś to nastąpi. A kiedy nastąpi czas rozstania się z życiem, ze swoimi najbliższymi i ze swoją miłością, wtedy bardzo mocno cierpią. Dlatego w większości życie na ziemi jest wielkim cierpieniem, często przez wielki zamęt ludzkich umysłów.

Pułkownik wstał i ostatecznie zegnał się z nami. Podziękował nam za wszystko. Ojciec życzył naszemu świątecznemu gościowi wytrwania i podziękował za życzenia, za „zdobyczną”, za szczere streszczenie swojego życia, za piękne i prawdziwe słowa na pożegnanie

Kiedy pułkownik odchodził do swego pokoju, do okna zaglądało już czerwone, wschodzące, bożonarodzeniowe słońce. Ojciec skierował swoje kroki ku stajni. Ja natomiast pobiegłem do stodoły. Otworzyłem kufer, w którym znajdowały się książki, zeszyty i inne przybory szkolne. Odszukałem w nim atlas geograficzny. Niezwykle opowiadania pułkownika bardzo mnie zaciękawiły. Gdy znalazłem się na kwaterze gdzie spaliśmy, w słońcu świątecznego poranka rozłożyłem mapę Rosji na posłaniu. Podczas wędrówki śladami mojego bohatera po mapie usnąłem. We śnie podążałem szlakiem katorgi, wielkiej miłości i tragedii rodziny rosyjskiego oficera.

Następne dwie wigilie i Święta obchodziliśmy w kompletnym gronie rodzinnym w domu, który był przeznaczony na noclegi i odpoczynek. Często spotykałem się z pułkownikiem w swojej zagrodzie. Był bardzo życzliwy. Nie raz za żartował i uśmiechał się. Były to uśmiechy wymuszone. Zawsze na jego twarzy można było odczytać cierpienie.

Miło także wspominać o Wańku jego kierowcy. Bardzo z nim byłem zaprzyjaźniony. Często mnie zabierał „dekawką” pułkownika do majątków w których była hodowla zwierząt rzeźnych i mleczne krowy na potrzeby dywizji. Byłem pod wrażeniem kiedy Wania swoim pojazdem na zakrętach pędził 80km./godz. Wania ze sztabu z Ciborza przywoził dokumenty hodowcom i zabierał od nich sprawozdania. Zwiedzałem z nim pałace, które przez wojaków były bardzo zdemolowane. Wania pochodził ze Stalingradu i był z pułkownikiem związany przez całą wojnę. Podczas napraw i pielęgnowania swojego pojazdu w podwórku naszego gospodarstwa opowiadał mi o wielu wojennych przygodach, które przeżywał w drodze na Berlin. Nie szczędził także pochwał o swoim pułkowniku, który o niego troszczył się jak o własnego syna. Opowiadał także jak jego poprzednik z Charkowa zginął w Stalingradzie w czasie podróży podczas nalotu.

Wczesną wiosną 1948 roku, dywizja artylerii Armii Czerwonej opuszczała Cibórz i pozostałe miejscowości. Serdecznie zegnaliśmy się z pułkownikiem i jego kierowcą. Wania wówczas miał 24 lata a ja nie całe 19. Rozstawaliśmy się jak z najlepszymi przyjaciółmi, z

którymi w jednym gospodarstwie chociaż w niewygodzie przeżyliśmy ponad dwa lata. Nie raz w gronie rodzinnym wspominaliśmy niezwykle los i tragedię rodziny wigilijnego gościa.

Takich ofiar jak mój bohater wspomnień wojna po sobie zostawia wiele. „Wyższa siła” rządzi losem życia na tej Ziemi.

Natura wiecznie trwa,.
By rządzić życia losem.
Jedno obdarza szczęściem.
Drugie powala ciosem.

KONIEC